



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

1 (7) 91

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA • WROCŁAW



SEMPER FIDELIS

Fundacja kresowa	1
KRZYSZTOF FILIPOW	
Lwów i Verdun. Miasta z orderem w herbie	3
MARIAN LACHMAN	
Lwów na znaczkach pocztowych, okolicznościowych, stemplach pocztowych i na banknotach	5
DANUTA NESPIAK	
Rozterki i niepokoje małopolskich Łemków	9
TADEUSZ PELIKAN	
Tragedia Ksawerówki	11
ZDZISŁAW J. ZIELIŃSKI	
Przeżyte na Gródku	13
Krystyna ROSZEK-MASIAK	
Skojarzenia	16
JERZY WĘGIERSKI	
Wspomnienie o M. Jędrzejewskim	17
ADAM WIERCIŃSKI	
Przywracanie pamięci	18
LESŁAW OBEC	
Spotkanie po latach	19
Poznajmy się	24
Z życia oddziałów i klubów TML	26
Nowy metropolita lwowski	31

REDAGUJE KOLEGIUM W SKŁADZIE: Jan Akielaszek, Andrzej Chlipalski, Jerzy Janicki, Wiesława Jeleńska-Hombek, Andrzej Kaminski, Danuta Kotowicz, Danuta Nespiak — przewodnicząca, Stanisław Nicieja, Zdzisław Ojrzyński, Henryk Staniuk, Jan Ziembicki

REDAKCJA: Jan Iwaszko — redaktor techniczny, Wiesława Jeleńska-Hombek — sekretarz redakcji, zastępca redaktora naczelnego, Leszek Mrozek — opracowanie graficzne, Henryk Staniuk — redaktor naczelný, Irena Zaucha — sekretariat redakcji

ADRES REDAKCJI: 50-434 Wrocław, ul. Prądyńskiego 14/16, telefon 44 63 72, telex 0712399

ADRES DO KORESPONDENCJI: 50-950 Wrocław, Box 902

WYDAWCA: Wielobranżowe Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Handlowe „Presstrust”, 50-434 Wrocław, ul. Prądyńskiego 14/16

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych

Na okładkach — empirowe rzeźby na lwowskim rynku: I s. — Diana, III — Neptun, IV — Adonis (fot. Z. J. Zieliński)

Drodzy Czytelnicy

Z przykrością informujemy, że z dniem 30 kwietnia 1991 roku — PRESS TRUST — odstąpił od wydawania naszego pisma. Aby mogło się ono nadal ukazywać, powołaliśmy Fundację Kresową „Semper Fidelis”.

Przy obecnych bardzo wysokich kosztach poligraficznych nawet sprzedaż dużej części nakładu nie gwarantuje ich pokrycia. Los pisma zależeć będzie wyłącznie od tego, czy uda nam się zebrać odpowiednie środki. Jedynie istnienie i działalność Fundacji pozwoli utrzymać się pismu na rynku czytelnicznym. Jej cele oraz sposoby ich realizacji przedstawiamy poniżej:

FUNDACJA KRESOWA „SEMPER FIDELIS”

Fundacja została powołana w grudniu 1990 roku we Wrocławiu.

Celem Fundacji jest:

- ochrona dziedzictwa historycznego i kulturalnego Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej;
- wszechstronna pomoc społeczności polskiej zamieszkującej Kresy;
- szerzenie prawdy historycznej o roli i znaczeniu Kresów Wschodnich w dziejach narodu polskiego.

Cele te Fundacja zamierza realizować poprzez:

- gromadzenie i efektywne wykorzystanie środków finansowych i rzeczowych otrzymywanych z kraju i zagranicy,
- działalność wydawniczą (kontynuowanie wydawania pisma Lwowian i Kresowian „Semper Fidelis” oraz innych wydawnictw związanych z szeroko pojętą tematyką kresową),
- organizowanie kolonii, obozów, zimowisk dla dzieci polskich w Ojczyźnie, pobytów leczniczych i sanatoryjnych dla najbardziej potrzebujących,
- fundowanie stypendiów dla uczniów i studentów,
- wspieranie inicjatyw zmierzających do ratowania i ochrony pamiątek przeszłości tych ziem,
- współpracę z innymi organizacjami krajowymi i zagranicznymi zajmującymi się dawnymi i najnowszymi dziejami Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej,
- popieranie działalności popularyzatorskiej i naukowej odnoszącej się do tego regionu.

Fundacja przygotowana jest, przy dodatkowym wsparciu finansowym, do prowadzenia wszelkiej działalności przedstawicielskiej, wytwórczej, handlowej, turystycznej i artystycznej.

Każdy dar pieniężny lub rzeczowy przyczyni się do ocalenia polskiego dziedzictwa kulturowego, pomocy dla ludzi jej potrzebujących, wsparcia duchowego i materialnego Polaków obecnie zamieszkujących na Kresach.

Prosimy o powiadomienie swoich krewnych, przyjaciół, znajomych i klientów o istnieniu i działalności Fundacji. Będziemy wdzięczni za każdy, nawet najskromniejszy datek.

Uprzejmie informujemy, że zgodnie z obowiązującymi przepisami prawnymi z podstawy opodatkowania zysku odlicza się kwotę dotacji przekazanych na działalność Fundacji.

Nasze konto: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa, Wrocław, Rynek Ratusz 7/9, PKD IV/O Wrocław 93549-99192-132. Fundacja Kresowa „Semper Fidelis”.

Wiersz ten rzekomo powstał w 1952 r. we Lwowie. Poszukujemy jego autora. Czytelnikom radzimy czytać kolejne poziome linijki, gdyż w ten sposób można odczytać prawdziwy sens zawarty w treści.

I

Runą w łunach, spłoną w pożarach
Krzyże kościołów, krzyże ofiarne
I w bezpowrotnym zgubi się szlaku
Z lechickiej ziemi orzeł Polaków

II

O słońce jasne, wodzu Stalinie
Niech twoje słowo nigdy nie zginie
Niech jako stróż prowadzi z gniazda
Rosji i Kremla płonąca gwiazda

III

Na ziemskim globie flagi czerwone
Będą na chwałę grały jak dzwony
Czerwona armia i wódz jej Stalin
Odwiecznych wrogów swoich obali

IV

Zmienisz się rychło w wieku godzin:
Polsko i twoje córki i syny
Wiara i każdy krzyż w mogile
U stóp nam legnie w prochu i pyle.

Krzysztof Bulzacki

NOBEL

Pytał mnie stary sklerotyk,
Ofiara partyjnej propagandy,
Co zrobił dla Polski Wałęsa
W sposób widoczny i namacalny.

Na czym polega ta wielkość,
Tego, co mówić poprawnie nie umie,
Któremu brak wykształcenia,
— Bo on tego nie rozumie.

Za co przyznali mu Nobla
Norwescy burżujo-kapitaliści,
Agresorzy zimnowojenni,
Co chętnie do Polski by przyszli.

Czy ten Wałęsa jest ich agentem
I Polskę sprzedał im cichcem,
Ze dali mu tyle pieniędzy,
Ze ich po prostu nie zliczę.

Tak pytał mnie stary sklerotyk
Z miną niewinną jak dziecko,
I porównywał tę furę złota,
Z wojenną pomocą radziecką.

Tyle jest tych pieniędzy,
Ze gdyby na wszystkich podzielić
Każdy Polak dostałby trzy centy,
Tak dużo to i tak niewiele.

I myślałem, co mu powiedzieć,
Jak wytłumaczyć starcowi,
Jakie działania Wałęsy wyliczać,
By zrozumiał istotę odnowy.

Na koniec odrzekłem mu krótko,
Tak prawdę mówiąc między nami,
To on niczego nie zdziałał,
Tylko przypomniał, żeśmy Polakami.

A pieniądze te z nagrody,
Bardzo chętnie bierze,
By złożyć je potrzebującym
Pomocy w ofierze.

I myślę, że nie takiej
Odpowiedzi bym czekał,
Bo dla mnie Wałęsa, to symbol,
Symbol godności człowieka.

Mieczysław Pilichowski

*Rodakowi Lechowi Wałęsie
kilka słów uznania i otuchy składa autor*

Przed Tobą Rodaku, przed z górą lat tysiącem
Żył w naszej Ojczyźnie również sławny Lech;
On jak Ty miał serce gorące,
Prowadził nasz Naród najlepiej spośród braci trzech ...

Teraz Ci niespodziewanie przypadł taki los,
Ze wyprowadzić masz Naród z chaosu,
Co wpadł weń, nie mając woli ani głosu,
Poddany wrogom tak, jak w klatce kos.

Ale się nie trwóż i nie lękaj zbytnio
Chociaż to ciężkie i trudne zadanie,
My Cię wspomóżemy, choćby swą modlitwą
Póki nam w piersiach tchu i życia stanie.

Nas to raduje, że trud Swoój zacząłeś
Z Bogiem, wieszając Krzyż na Swojej ścianie
Wierzmy zatem, że to, co podjąłeś,
Swą mocą Bóg wesprze i da Ci wytrwanie.

Trud będzie ciężki, bo walka zaczęta
Z wrogiem, a także z Narodem zdrajcami
Lecz Bóg da zwycięstwo, bo to walka święta
O zorzę wolności, co świeci przed nami.

Trzymaj się dzielnie, jak dotąd, na Swojej placówce,
Nie ulegaj wrogom i zdrajcom, bo to Wielka Sprawa,
Nasze pełne zwycięstwo, da Bóg będzie wkrótce,
Pomoże Ci w trudzie dzielna robocza Warszawa.

Wiersz, napisany w Łęborku 10 września 1980 r., prze-
słała do Redakcji w grudniu 1991 r. żona, Janina Diug-
-Pilichowska.

Mieczysław Pilichowski urodził się 10 marca 1910 r.
w Samborze. Był najmłodszym dzieckiem Jana i Kata-
ryny Pilichowskich, którzy posiadali ośmioro dzieci.
Ojciec był pracownikiem kolejowym. Gdy Mieczysław
miał 16 lat, ojciec zmarł, a matka kształciła wszystkie
dzieci.

Mieczysław wspierał finanse rodziny korepetycjami.
Po uzyskaniu matury w gimnazjum w Samborze udał
się na studia do Lwowa na Wydział Prawa Uniwersyte-
tu im. Jana Kazimierza, gdzie uzyskał dyplom magistra.
Po założeniu rodziny osiedlił się na stałe we Lwowie,
podejmując tam pracę w kolejnictwie. Na podstawie na-
kazu władz radzieckich ewakuowany do Wrocławia, pra-
cował nadal w biurze prawnym Polskich Kolei Państwo-
wych.

Zmarł w listopadzie 1981 r.

Lwów i Verdun. Miasta z orderem w herbie

Order Wojskowy Virtuti Militari był pierwszym wyróżnieniem wznowionym w Rzeczypospolitej po uzyskaniu przez nią niepodległości. Na mocy ustawy z 1 VIII 1919 r. Krzyż Virtuti Militari nadawać miano żołnierzom polskim walczącym na różnych frontach I wojny światowej. Przede wszystkim zaś przyznawać go miano uczestnikom toczonych walk o granice i byt niepodległego państwa.

Zachowanie odpowiedniej „furtki” w treści ustawy pozwalało na elastyczne pojmowanie odpowiednich przepisów o Orderze Wojskowym Virtuti Militari. Sformułowanie: „odznaczenie wszakże orderem może wyjątkowo mieć miejsce również za czyny bojowe, przed wydaniem ustawy dokonane w imię dobra i niepodległości Polski” — pozwalało w latach dwudziestych na dekorację chorągwi i sztandarów formacji wojskowych z okresu wojny światowej oraz wojny polsko-radzieckiej, a także na dekorację miejsc będących symbolami wojska bądź chwały oręża. Były to Groby Nieznanego Żołnierza w Stanach Zjednoczonych, Ameryki Północnej, Rumunii, Francji oraz dekoracja miast Lwowa i Verdun.

Uroczysta dekoracja Lwowa odbyła się z wielką pompą. Miała ona miejsce 22 listopada 1920 roku. W godzinach rannych wokół pomnika Adama Mickiewicza zgromadziły się oddziały Ochotniczej Legii Kobiet, Miejskiej Straży Obywatelskiej, harcerze, dawni obrońcy oraz stacjonujące w mieście oddziały wojskowe. U stóp pomnika zbudowano wspaniały, ozdobiony szkarłatem i grono-stajem ołtarz polowy. Wokół pomnika zgromadziły się delegacje cechów, stowarzyszeń i lwowskich korporacji. Po lewej stronie ołtarza ułożono gipsowy odlew herbu miasta Lwowa w aksamitnej amarantowej oprawie.

Wszyscy oczekiwali na przyjazd Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego, który miał przeprowadzić akt dekoracji. O godzinie 10 przyjechał pociąg specjalny. Salut armatni oznajmił mieszkańcom prastarego grodu przybycie Naczelnego Wodza. Powitali go gospodarze miasta wraz z delegatem generalnym rządu, przedstawicielami wojska oraz członkami wojskowych misji zagranicznych. Po odebraniu raportu Piłsudski przybył na Plac Mariacki, gdzie odbyć się miała dostojna i wspaniała uroczystość. Około godziny 11 rozpoczęły się uroczystości. Barwny ich opis pozostawił znany historyk Józef Białynia Chołodecki. Relacjonował on m.in.: „I pochyliło się morze głów, gdy arcybiskup ks. dr Józef Bilczewski zanosił do nieba modły polskiej mszy polowej i nastąpiła chwila główna, chwila

udekorowania miasta. Naczelnik Państwa Józef Piłsudski przypiął własnoręcznie na odtworzonym plastycznie w gipsie herbie, dzierzonym przez prezydenta Józefa Naumanna w otoczeniu trzymających szarfy czterech wiceprezydentów i sześciu oficerów straży honorowej, odznakę Virtuti Militari i wypowiedział dobitnie te słowa: «Za zasługi położone dla polskości tego grodu i jego przynależności do Polski mianuję miasto Lwów kawalerem Krzyża Virtuti Militari». Przemówił prezydent Neumann, złożył podziękowanie Naczelnikowi Państwa, Sejmowi Rzeczypospolitej i jej Rządowi, oddano hołd i cześć orłom i orłom Lwa grodu i nastąpił przemarsz barwnego orszaku, za herbem miasta, niesionym przez jego włodarza, ku murom ratusza, potem długa, długa defilada przed dzierzącym w ręce buławę Naczelnikiem Państwa i uroczyste przyjęcie gości przez miasto».

Dekoracja miasta Krzyżem Srebrnym Orderu Wojskowego Virtuti Militari nieprzypadkowo miała miejsce 22 listopada. Związano ją z uroczystościami dwuletniej rocznicy wyzwolenia Lwowa z rąk Ukraińców. Następnego dnia, po dekoracji herbu miasta, wydane zostało w sali Ratusza uroczyste śniadanie z udziałem Józefa Piłsudskiego. Stało się ono m.in. okazją do przypomnienia roli miasta w obronie polskości i granic Rzeczypospolitej. Była to również swoista wykładnia poglądów Naczelnego Wodza na problem obrony kresów wschodnich oraz honoru i męstwa żołnierza. Uzasadniając przyznanie miastu orderu (czego nigdy wcześniej nie praktykowano), Józef Piłsudski stwierdził: „Lwów w dniach dla niego ciężkich stał się zbiorowym żołnierzem. Od jego pewności i jego wiary zależało, czy każdy żołnierz stać będzie spokojnie na placówce. A miasto jest w cięższych warunkach niż żołnierz na froncie. Miasto nie widzi nieprzyjaciela, nie widzi bezpośrednio rezultatów strzałów, nie zna podniecenia, jakie daje walka oko w oko. Miastu przypadają w udziale tylko same męki i trwogi. Dzieciom zagraża nędza, rodziców chwyta śmiertelna obawa. Miasto musi brać udział w zbiorowym wysiłku, musi opanować swój lęk, trzymać na wodzy swą niepewność, by strachem nie zarazić tych, którzy stoją na jego straży. Tych kilkadziesiąt dni walki uczyniły ze Lwowa dzielnego żołnierza. Dlatego ja, jako Naczelnny Wódz, który ma za zadanie odznaczać najdzielniejszych wśród dzielnych, najwaleczniejszych wśród walecznych, z całą sumiennością, a zarazem z uczuciem szczęścia rozstrzygnąłem, że mogę dać zbiorowemu żołnierzowi — miastu waszemu — najwyższą odznakę wojskową».

Krzyż Virtuti Militari, przyznany miastu, został w księdze Kapituły Orderu Wojskowego Virtuti Militari zapisany pod numerem 1. Gipsowy odlew herbu, który był udekorowany przez Józefa Piłsudskiego, złożony został w muzeum miejskim. Przez długie lata herb miasta przedstawiany był z wizerunkiem tego najwyższego bojowego orderu Rzeczypospolitej.

Podniosłą uroczystość uwiecznił na obrazie Z. Batowski. W prasie lwowskiej ukazało się wiele wierszy ułożonych na tę okazję. Drukowano je m.in. w „Gazecie Wieczornej” oraz „Wieku Nowym”.

Zupełnie inny charakter miała dekoracja miasta Verdun. Drugie z miast kawalerów Krzyża Virtuti Militari odznaczone zostało 6 lutego 1921 roku. Ponieważ stworzono precedens dekoracji herbu miasta, rząd francuski zapraszając marszałka Józefa Piłsudskiego do złożenia wizyty, liczył na podobną uroczystość we Francji. Uzgadniając przebieg wizyty, Francuzi zaproponowali zwiedzenie pól bitewnych, na których toczyły się decydujące walki I wojny światowej. Symbolem heroicznej i pełnej poświęcenia walki, szczególnie pamiętnym z 1916 roku, było Verdun. W dniu 6 lutego 1921 roku marszałek Piłsudski udekorował miasto Krzyżem Srebrnym Orderu Wojskowego Virtuti Militari. Dokonując tego aktu stwierdził: „Miasto to stało się symbolem i przedmiotem podziwu wszystkich, którzy wzięli swe nadzieje ze zwycięstwem sztandaru francuskiego. Dobre wojsko nie może istnieć bez ożywionego dobrym duchem obywatelskim społeczeństwa, którego ideały znowu nie mogły być urzeczystwione bez dobrego wojska. I dlatego składając hołd bohaterskiemu wysiłkowi żołnierzy, świadomych obowiązków i dzielnych obywateli, nadaje w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej miastu Verdun Krzyż Virtuti Militari”.

Dekoracja obu miast zaowocowała nawiązaniem wspólnych kontaktów i bliższych stosunków między nimi. Na początku 1921 r. „Żołnierz Polski” donosił swoim czytelnikom: „W czasie swego pobytu we Francji Naczelnik Państwa udekorował herb miasta Verdun Krzyżem Virtuti Militari. Z miast polskich jeden Lwów posiada dotychczas to odznaczenie. Obecnie rada miasta Lwowa wysłała do rady miejskiej w Verdun list z hołdem i serdecznymi pozdrowieniami oraz zaprosiła przedstawicieli Verdun do Lwowa w celu nawiązania bliższych stosunków przyjacielskich”.

O dekorację Krzyżem Orderu Wojskowego Virtuti Militari ubiegały się również m.in. Warszawa, Bukareszt, Dytjatyn, Zadwórze, a także Politechnika Lwowska. „W Kapitułę najzaszczytniejszego orderu Polski panuje przekonanie, że Warszawa nie zasługuje na Virtuti Militari” — donosiły tytuły stołecznych gazet. Projekt dekoracji stolicy wysunął dyrektor Muzeum Wojska Polskiego płk Bronisław Gembarzewski. Popierał go tak znani naukowcy i ludzie związani ze stolicą, jak: Artur Oppman, Szymon Askenazy, Henryk Mościcki i Marceli Handelsman. Mimo to, jak informowała czytelników prasa: „W kapitule orderu panuje przekonanie, że jeżeli mogłaby być mowa o zasługach bojowych Warszawy, bohater-

stwo jej należałoby mierzyć miarą pracy wojennej Lwowa lub Verdun. Tymczasem tej opinii Warszawa w kapitule bynajmniej nie posiada”.

Taki sam los spotkał stolicę Rumunii. Nie przyznano Krzyża Srebrnego Orderu Virtuti Militari Bukaresztowi. Sprzeciwił się temu przewodniczący kapituły orderu marszałek Józef Piłsudski.

O wyróżnienie orderem wojennym starał się także Komitet Żałobny Krzyża Dytjatyn. W miejscowości tej podczas kampanii 1920 roku: „ceniąc wysoko Honor Ojczyzny i Żołnierza Polskiego garstka walczących nie poddała się w sromotną niewolę, lecz walcząc dzień cały z przeważającymi siłami Budionnego — tworząc drugie Termopile polskie — wszyscy bohaterską i męczeńską śmiercią polegli”. Do wyróżnienia w 1925 r., kiedy zgłoszono wniosek, nie doszło. Prośba została ponowiona w 1931 r. i poparta przez generała Andrzeja Galicę, lecz i w tym wypadku nie doszło do pomyślnego zakończenia sprawy.

„Polskimi Termopilami” nazywano także rejon walk: Horpin—Firlejówka—Łopatyn—Zadwórze. Zginęło tam 554 żołnierzy polskich. W dziesiątą rocznicę walk wystąpiono o odznaczenie czterech kurhanów nad mogiłami poległych Krzyżem Virtuti Militari. Odpowiedź, która nadeszła z kapituły, była krótka i wymowna: „według opinii Dowództwa Okręgu Korpusu Nr VI z dnia 19 lutego 1931 roku sprawa odznaczenia kurhanów bohaterów poległych w roku 1920 pod Horpinem, Firlejówką, Łopatynem i Zadwórzem orderem Virtuti Militari jest obecnie nieaktualna”.

Również odmownie załatwiona została prośba Polskiego Towarzystwa Politechnicznego we Lwowie z 16 grudnia 1921 r. o dekorację Politechniki Lwowskiej orderem, mimo iż: „Zaszczyt, który miałby spaść na Politechnikę Lwowską, przez nas wszystkich profesorów, ale i młodzież wysoko cenniony jako symbol gotowości służenia Ojczyźnie na zagrożonych tutaj Kresach Wschodnich, których obronę tak szybko młodzież naszej uczelni podjęła i krwią swoją obficie zrosiła”. Szef biura kapituły mjr dr Adolf Maciesza odpisał: „Zwracam akta w sprawie odznaczenia Politechniki Lwowskiej Orderem Virtuti Militari z odmowną decyzją Naczelnego Wodza”. Nie pomogło nawet osobiste wstawiennictwo gen. bryg. Mieczysława Norwid-Neugebauera ani ówczesnego ministra spraw wojskowych gen. dyw. Kazimierza Sosnkowskiego — obu zresztą absolwentów Politechniki Lwowskiej.

Dopiero po kampanii wrześniowej 1939 roku dekorowano herb miasta Warszawy. Było to już jednak związane z tragicznymi wydarzeniami II wojny światowej. W okresie dwudziestolecia międzywojennego to wybitne wyróżnienie przyznano jedynie dla Lwowa — miasta *Semper fidelis* — oraz francuskiego Verdun.

Gdańsk, 12 XI 1990 r.

Szanowni Czytelnicy,

Wielmożny Panie Redaktorze,

Uprzejmie proszę o opublikowanie na łamach „Semper Fidelis” mego, niżej podanego, apelu do czytelników.

Wraz z wyrazami uszanowania przesyłam Panu oraz wszystkim członkom Zespołu Redakcyjnego życzenia wszelkiej pomyślności w pracy na „lwowskiej niwie”.

Piotr Szczudłowski

Od lat zbieram informacje o losach Szczudłowskich, zamieszkujących przed 1945 rokiem we Lwowie i na kresach południowo-wschodnich. Bardzo proszę za pośrednictwem „Semper Fidelis” wszystkie osoby, mogące udzielić mi na ten temat informacji, o kontakt listowny: Piotr Szczudłowski, ul. Zabłockiego 2a/22, 80-287 Gdańsk.

Lwów na znaczkach pocztowych, okolicznościowych stemplach pocztowych i na banknotach

ZNACZKI POCZTOWE

Jest ich stosunkowo niewiele, można nawet twierdzić, że bardzo mało. Przyjrzyjmy się więc im bliżej, gdyż nawet rodowici lwowianie nie zawsze je znają.

I. Znaczki pocztowe wydane przez Poczta Polską

1. W latach 1925—26 Poczta Polska wydała serię 11 znaczków pocztowych o różnej wartości nominalnej od 1 do 45 groszy. Przedstawiają one widoki historycznych budowli oraz dwa z nich statek żaglowy. W tej serii 4 znaczki odnoszą się do Lwowa. Są to:

a) znaczki o wartości 2 gr w kolorze brązowym i 30 gr w kolorze niebieskim — oba przedstawiają pomnik Jana III Sobieskiego, który stał we Lwowie na Wałach Hetmańskich.

b) znaczki o wartości 20 gr w kolorze czerwonym i 45 gr w kolorze fioletowym — oba przedstawiają statek szkolny „Lwów”, płynący pod pełnymi żaglami. Znaczek wartości 20 gr występuje również z nadrukiem „Port Gdański”, stosowanym na Poczcie Polskiej w Gdańsku.

2. 1 IV 1937 r. Poczta Polska wydała 4-znaczkową serię o tematyce zabytki architektoniczne i nowoczesne gmachy. Wśród nich znaczek o nominalnie 15 gr, w kolorze czerwono-brązowym i napisem „Lwów — Uniwersytet”. Również i ten znaczek z nadrukiem „Port Gdański” był stosowany przez Poczta Polską w Gdańsku, przy czym nadruk mieścił się po prawej stronie znaczka nad widokiem Uniwersytetu.



II. Znaczki pocztowe wydane przez inne poczty

1. Znaczki pocztowe wydane przez pocztę niemiecką dla Generalnego Gubernatorstwa.

a) W 1943 r. wydano 5-znaczkową serię przedstawiającą różne zabytkowe budowle w 5 miastach polskich, ale z napisami niemieckimi — „Grossdeutsches Reich — Generalgouvernement”. Jeden z tych znaczków w kolorze niebiesko-czarnym, o nominalnie 1 zł + 2 zł i napisie „Lemberg” przedstawia część lwowskiego ratusza z wieżą ratuszową z lewej strony znaczka, a z prawej postać stojącego na tylnych łapach lwa. Między nimi wytłoczony w białym polu herb niemiecki orzeł ze swastyką w łapach — znak ten zresztą jest bardzo słabo widoczny.

b) W 1934/44 wydano 4-znaczkową serię przedstawiającą budowle lub miasta w Polsce, z napisem „Deutsches Reich — Generalgouvernement”. Jeden ze znaczków w kolorze czarno-brązowym, o nominalnie 6 zł, przedstawia ogólny widok Lwowa widziany z Wysokiego Zamku. Dobrze widoczne budynki, dachy domów, wieża ratuszowa, Wieża Korniaktów i kopuła kościoła oo. Dominikanów.

2. W 1972 roku poczta ZSRR wydała 4-znaczkową serię „Architektura Ukrainy” o nominalach od 4 do 16 kopiejek. Wśród nich jeden o tematyce lwowskiej, z nominalnie 4 kopiejek (pierwszy w serii), przedstawiający widok spod lwowskiego ratusza na część wschodniej pierzei rynku, z widoczną w głębi górną częścią Wieży Korniaktów. Widać bardzo niewyraźnie zarysowaną studnię. Znaczek wielokolorowy — widoczna część ratusza i wieże są w kolorze brązowym, ściany kamieniczek — żółte, a ich dachy i kopuły wież — czerwone. Podpis pod widokiem dwujęzyczny — rosyjski i ukraiński „Lwów — plac rynkowy”.

LWOWSKIE OKOLICZNOŚCIOWE STEMPLE POCZTOWE

Są to specjalne stemple, przypominające o jakimś znaczącym wydarzeniu, np. wystawa, zjazd itp., odbite na kopercie lub karcie pocztowej obok normalnego kasownika pocztowego i znaczka, przy czym najczęściej są one integralną częścią tegoż kasownika.

A. Stemple stosowane przez Poczta Polską we Lwowie

1. Z okazji Świąt Bożego Narodzenia:

a) datownik „Lwów 1—16 XII 36” połączony z rysunkiem gałązki choiny z palącą się świeczką i napisem „witaj gwiazdka złota”.



b) prostokątny stempel o wym. 3×6 cm, jakby podzielony na dwie połowy: lewa — schematyczny rysunek frontonu kościoła oo. Bernardynów z widoczną kolumną bł. Jana z Dukli, prawa — Lwów 1, 24 XII 37. Pod spodem ramki napis dużymi literami: WESOŁYCH ŚWIAT.

Nie wiem, czy poczty innych miast też stosowały podobne stemple. Nie spotkałem takich, i nie mi o tym nie wiadomo.

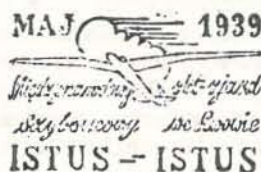
2. Datownik mały, okrągły — ϕ 2,5 cm — wewnątrz obwodu u góry napis: LWÓW, u dołu dużymi literami — KRAJOWA WYSTAWA LOTNICZA. W środku data: 17 VI 38. Oprócz tego na kopercie druga pozioma pieczęć w formie elipsy wielkości $2,5 \times 4,5$ cm, utworzonej z wyrazów i dat. Górny napis dużymi literami w dwóch rzędach: KRAJOWA WYSTAWA LOTNICZA WE LWOWIE. Dolny napis jednorzędowy: 29.V. — L.O.P.P. — 29.VI. W środku elipsy rysunek samolotu jedno-płatowca.



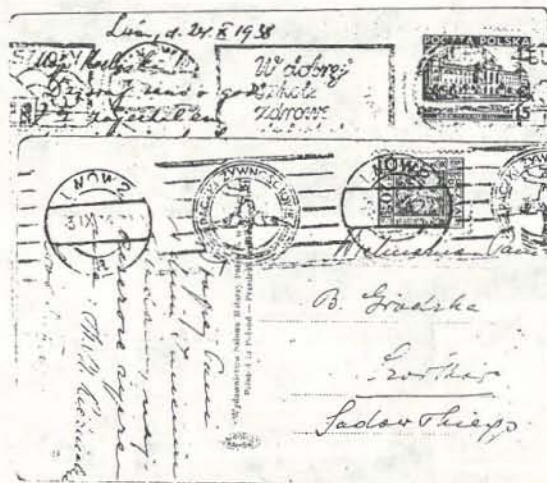
3. Prostokątna pieczęć o barwie fioletowej, wymiar $5,5 \times 3$ cm, wewnątrz napis dużymi literami w 4 liniach: Zawody konne o mistrzostwo wojska w r. 1938 we Lwowie. Z lewej strony napisu herb Lwowa. Znaczek skasowany małą pieczęcią: Lwów 1—28 VII 38.

4. Okolicznościowy obrazkowy datownik łączny z kasownikiem znaczka. Wielkość: $4 \times 2,9$ cm. Z prawej strony: mała panorama Lwowa, widoczne wieże katedry, ratusza i Korniaktów, w tle zarys kopca Unii Lubelskiej. Nad rysunkiem napis w 3 liniach: pierwsza: 1—22, druga: LISTOPAD 1918, trzecia: 1938. Wzdłuż lewego brzegu rysunku pionowy napis dużymi literami w 2 liniach: SEMPER FIDELIS. Kasownik znaczka okrągły o średnicy 2,4 cm — Lwów 1—11 XI 38.

5. Okolicznościowy 4-liniowy obrazkowy datownik łączny z kasownikiem znaczka. Wielkość $4,8 \times 3$ cm. Napisy w 4 poziomych liniach: pierwsza: MAJ 1939, druga: Międzynarodowy zlot-zjazd, trzecia: szybowcowy we Lwowie, czwarta: ISTUS — ISTUS. Między pierwszą i drugą linią napisu rysunek szybowca w chmurach (przez całą szerokość stempla). Kasownik znaczka okrągły o średnicy 2,4 cm — LWÓW 2 15 V 39.



6. Oprócz wymienionych stempli okolicznościowych Poczta Lwowska stosowała tzw. stempel rotacyjny do kasownika korespondencji z różnymi dodatkami propagandowymi np. „Budujmy szkoły”, „W dobrej szkole zdrowe dziecko”, „Paczki żywnościowe” itp.



B. Okolicznościowe kasowniki z okresu okupacji (Generalnej Gubernii)

1. Kasownik znaczka okrągły o średnicy 3,6 cm, wewnątrz otoku napis dużymi literami: Zwei Jahre Generalgouvernement. W środku: u góry z lewej strony hitlerowski orzeł, pod nim z prawej — rysunek lwowskiego ratusza z wieżą, obok z lewej strony data 26 10 1941. Pod rysunkiem ratusza napis: LEMBERG.

2. Jahrestag des Generalgouvernements



26. Oktober 1941

2. Kasownik znaczka okrągły o średnicy 3,6 cm. Wewnątrz otoku z góry i boków napis dużymi literami: Ein Jahr Distrikt Galizien; w dole: Lemberg, w środku: herb Lwowa (ale lew skierowany w prawo) oraz 1942 — rozdzielone na obie strony herbu.



3. Kasownik znaczka okrągły o średnicy 3,6 cm. Wewnątrz otoku napis dużymi literami: Eröffnung der Fleckfieberforschungstätte. W środku otoku napis dużymi literami: Behring Institut Lemberg. Pod spodem data: 10—11 12 1942.

LWÓW NA BANKNOTACH

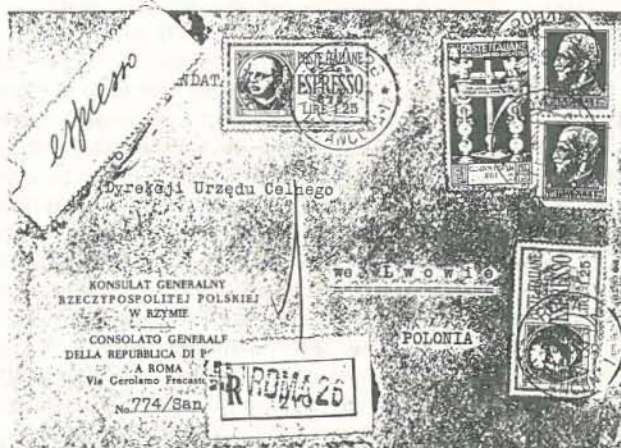
Jest tylko na jednym banknocie, wydanym 1 VIII 1941 r. (w okresie okupacji) dla obszaru Generalnego Gubernatorstwa przez Bank Emisyjny w Polsce w serii II. Numer siedmiocyfrowy. Wartość banknotu 100 zł. Wielkość banknotu 18,6 cm × 9,9 cm, w tym obrazu: 12,6 × 8,8 cm.



Na marginesie banknotu — znak wodny: głowa starca z brodą. Ogólny widok Lwowa, a raczej jego główna środkowa część znajduje się na rewersie banknotu. W owalu podłużnym, zajmującym środek rewersu, w elipsowatym okolu z siatkowym rysunkiem otoku jest ogólny widok Lwowa z widocznym jego centrum, a więc wieże: ratusza, Cerkwi Wołoskiej, kościoła oo. Karmelitów wraz z dachem jego głównej nawy oraz kopuła kościoła oo. Dominikanów. Z lewej strony obrazu, na horyzoncie widoku — sylweta katedry Św. Jura. Całość banknotu wykonana bardzo starannie na dobrym papierze.

INNE CIEKAWOSTKI

Do takich ciekawostek można by również zaliczyć trzy koperty po jakichś na pewno handlowych pismach, z których dwie adresowane były do Dyrekcji Cel we Lwowie (mieściła się przy ul. Rutowskiego), a jedna — do Urzędu Celnego, który się mieścił przy Dworcu Głównym. Pierwsza z nich, wysłana 24 6 1938 r. przez Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Rzymie jako list ekspresowy, dotarła przez Wenecję i Bolonię (jak na to wskazują różne pieczętki na odwrocie koperty) do Lwowa w dniu 27 6 1938 r. — a więc na czwarty dzień była już u adresata.



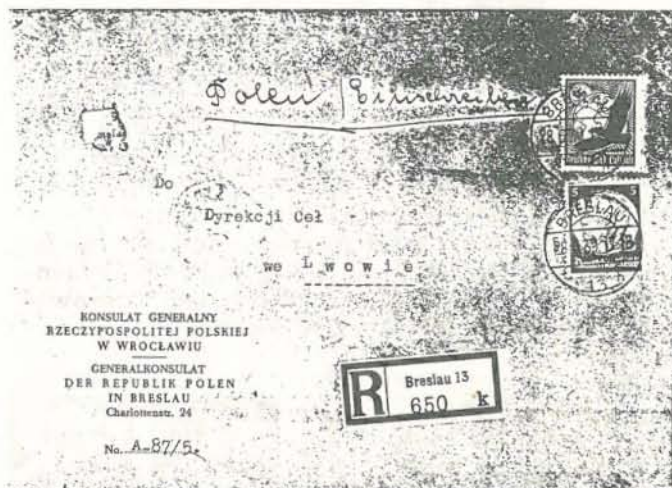


IZBA PRZEMYSŁOWO-HANDLOWA WE LWOWIE
MIĘDZYNARODOWE TARGI WSCHODNIE
LWÓW, AKADEMICKA 17
Telefony: 205-37, 209-64, 101-40

Do Szanownego
Urzędu Celnego

we Lwowie /Dworzec/

Druga, wysłana 28 6 1939 r. przez Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej we Wrocławiu, dotarła do Lwowa (przez Katowice) już w następnym dniu, tj. 29 6 1939 r. Trzecia, przesłana do adresata zapewne przez gońca biurowego, na co wskazuje brak znaczka i pocztowych pieczętek, została wysłana przez Izbę Przemysłowo-Handlową we Lwowie — Międzynarodowe Targi Wschodnie — Lwów, Akademicka 17. Firmowy nadruk na kopercie zawiera również rzadziej spotykany emblemat Targów Wschodnich — w czarnym pół-



ku z podstawą duże litery w kolorze białym — T wchodzące w W. Z obydwu boków jakby skrzydła w 3 poziomach.

I to jest wszystko, co na ten temat znalazłem w rozmaitych zbiorach czy w starociach u rozmaitych znajomych i nieznanym ludzi. Może ktoś w Polsce mógłby jeszcze to opracowanie uzupełnić. Bardzo bym się z tego cieszył.

APEL APEL

UWAGA DAWNI HARCERZE!

Krąg Seniorów Harcerskiej Obrony Lwowa w 1939 roku zawiadamia członków kompanii, dowodzonej przez por. Z. Czekańskiego (zamordowany w lwowskich Brygidkach), że w toku organizacji jest II Zjazd Koleżeński. Dokładna data zjazdu w Częstochowie w kwietniu 1991 będzie podana później.

Osoby zainteresowane proszone są o kontakt z p. Józefem Dźwigalskim, 42-200 Częstochowa, ul. Dąbrowskiego 11/4.

Informujemy ponadto, że powołany został Zarząd Kręgu w składzie: przewodniczący — dh Sławomir Wilk, wiceprzewodniczący — dh Zygmunt Jaworski, sekretarz — dh Józef Dźwigalski, skarbnik — dh Gustaw Burtak.

Kraków, 16 X 1990 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W uzupełnieniu mojego listu w sprawie „talizmanu” p. Walerii Szalay („Semper Fidelis” luty—marzec (2)) informuję, że zwróciłem się do „uczonych w piśmie” i napis hebrajski brzmi „Szetel Israel”, co by znaczyło „Lew Izraela”. Oczywiście pochodzenia „talizmanu” to nie rozwiązuje, ale rozwiązanie zagadki może posunąć naprzód. Pani Waleria, mając ten „talizman” zaszyty czy nosząc przy sobie w czasie okupacji, miała szczęście podwójne. Znalezione przy niej z hebrajskim napisem nie mógłby jej uratować życia. Jej szczęście polegało na tym, że go przy niej nie znaleziono [...].

Wasze pismo jest coraz wspanialsze. Proszę przyjąć serdeczne życzenia rozwoju miesięcznika, z wyrazami szacunku i poważania.

Andrzej Kostrzewski
Smoleńsk 27/7, 31-112 Kraków

DANUTA NESPIAK

Rozterki i niepokoje małopolskich Łemków

Ukraińcy twierdzą, że ich ziemie etniczne sięgają m.in. w głąb Polski tuż pod Gorlice (zob. B. Szkaradziński, *Białorusini, Litwini, Ukraińcy*, Białystok 1990, s. 90).

Patrzę na mapę: pod Gorlicami leżą wsie Rozdziele, Pielgrzymka, Bielanka, które wybitny polski etnograf prof. Roman Reinfuss wyznaczył w rzędzie granicznych zachodnich wsi łemkowskich w Polsce. Obok mapy leży list. Przysłał go do Zarządu Głównego TML przedstawiciel grupy Łemków. List zaczyna się słowami: „Bracia i Siostry Łemkowie. Nie jesteśmy żadnymi Ukraińcami i nie ponosimy żadnej odpowiedzialności za bestialskie mordy dokonywane przez tak zwanych nacjonalistów ukraińskich. Przez wieki żyliśmy w granicach Rzeczypospolitej, nawet w czasie jej rozbioru. My Łemkowie winniśmy się w pierwszej kolejności zorganizować jako mniejszość narodowa”. Kopię listu nadawca przesłał również do TV w Warszawie, a kończy się on apelem — Pomóżcie!

Kim są i kim chcą być Łemkowie? Na dawnych mapach Karpat Wschodnich oznaczano Pałenicę (1758 m n.p.m.) leżącą w dolinie Czarnego Czeremoszu jako styk Polski, Węgier i Wołoszczyzny. Wędrując tam Wincenty Pol, poeta i wybitny znawca Karpat, znalazł głąz na wyrytych literami F.R., tj. Finis Rei-Publicae. Czy tedy z Wołoszczyzny i Węgier przepłynęła niegdyś fala osadnicza Łemków do Polski? Tak zwany „klin łemkowski” w Karpatach był obecny w I i II Rzeczypospolitej, a jego historia nabrała najbardziej dramatycznych wymiarów w pierwszych latach PRL.

Pochodzenie Łemków było przedmiotem badań naukowych ze strony polskiej i ukraińskiej. Jak się można domyślać, sformułowano dwie przeciwstawne teorie. Dawniejsi badacze ruscy, a po nich ukraińscy, z wybitnym historykiem Mychajłem Hruszewskim (zmarłym w 1934 r. profesorem Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie), reprezentują pogląd, że klin łemkowski w Karpatach jest pozostałością osadnictwa ruskiego, wychodzącego się jeszcze z Rusi Kijowskiej, które sięgało daleko na zachód. Dowodem na to według nich mają być nazwy ruskie miejscowości nawet w okolicach Krakowa (Andrychów, Iwanowice, Popowice). Ta fala ruskiego osadnictwa zepchnięta została następnie przez Polaków na wschód, a ludność ruska zdołała się utrzymać w Karpatach. Badacze polscy natomiast (K. Dobrowolski, K. Pieradzka, R. Reinfuss) twierdzą, że przodkowie Łemków przybyli do Rzeczypospolitej z terenów Wołoszczyzny, Siedmiogrodu, a nawet Bałkanów. Były to plemiona pasterskie, które zaczę-

ły osiedlać się w Polsce od XIV w., wciskając się klinem między osadnictwo polskie i słowackie na obszarze Karpat (zob. też Macurek J. Valaska, *Kolonizacja w zachodnich Karpatach do roku 1618*, Praga 1957, s. 212). Grupy tej ludności przeszły na osiadły tryb życia, tworząc wsie lokowane w XV i XVI w. na tzw. prawie wołoskim. Świadczą o tym zachowane do dzisiaj nazwy wsi, jak np. Tyrawa Wołoska koło Sanoka.

Źródłowe wiadomości o Wołochach pojawiają się na początku XV w. Sołtysów wołoskich w 1420 r. miały wsie Blechnarka i Wysowa w Beskidzie Niskim. Na ruszczenie wsi wołoskich wpłynęła migracja ludności ruskiej z południowego wschodu spowodowana najazdami tatarskimi i tureckimi w XV i XVI w. Silna fala osadnicza, która zmieszała się z ludnością wsi osadzonych na prawie wołoskim, doprowadziła do etnicznej asymilacji w wyniku powiązań rodzinnych, gospodarczych i kulturalnych. Łemkowie zatem wyodrębnili się jako osobna grupa etniczna z Wołochów, Rusinów, a być może i Węgrów siedmiogrodzkich. Ale polsko-ukraiński spór o etnogenezę Łemków jest dzisiaj częścią zasadniczego sporu o ich narodową tożsamość.

Łemkowie zajmowali przed 1939 r. 5 podkarpackich powiatów — w woj. lwowskim: krośnieński i sanocki, w woj. krakowskim — nowosądecki, gorlicki i jasielski. Fundamentalny *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego* z lat osiemdziesiątych XIX w. podaje, że lud ten nazywają Gardlakami, Czuchańcami albo Kustakami. Nazywają ich również Łemkami od przysłowka „łem”, którego używają w znaczeniu „tylko”. Sami siebie natomiast zwą Rusnakami.

Nazwania ludności ruskiej Beskidu Niskiego mianem Łemków użył po raz pierwszy językoznawca Osip Lewickij w 1834 r. Nazwa „Łemko” wzbudziła protest Wincentego Pola, który pisał: „wśród tych górali sanockich, czyli jak ich chcą zwać «Łemków», leżą trzy wioski w niewielkiej odległości od siebie, gdzie w jednej ludzie mówią «łem», w drugiej «nem», w trzeciej «leż». Tym samym tedy prawem można by ich nazwać Łemkami, Nemkami i Leżkami” (zob. W. Pol, *Rzut oka na północne stoki Karpat*, Kraków 1851, s. 27).

Przysłowka „łem” nie używała żadna inna grupa etniczna w II Rzeczypospolitej oprócz Łemków. Wyodrębnienie się grupy Łemków i odróżnienie ich od Rusinów, Ukraińców, Bojków i Hucułów spowodowane było również istnieniem dialektu łemkowskiego cechującego się pewną specyfiką. Posiadał on akcent na drugiej sylabie od końca (podobnie jak język polski) w przeciwieństwie do ruchomego akcentu języków wschodniosłowiańskich, wreszcie swoiste cechy gramatyczne i fonetyczne. Tak więc określenie „Łemko” oznaczało przed II wojną światową Rusina mówiącego nieczysto po rusku.

Na początku XX w. weszła również w użycie nazwa Karpatorusiń, obejmująca Łemków z Galicji i wschodniej Słowacji oraz Bojków zamieszkujących Bieszczady i część Gorganów.

Granica etniczna polsko-łemkowska na połud-

nie od linii Ptaszkowa—Szymbark—Dukla—Rymanów od dawna była niezmienna. Wsie łemkowskie sąsiadowały z polskimi, nie było pasów przejściowych, jak np. we wschodniej Słowacji. Trudniejsza do określenia była wschodnia granica Łemkowszczyzny z tej racji, że występowała tu strefa przejściowa między grupą etniczną Łemków a pokrewną im grupą górali karpaccich — Bojkami. Granica ta stanowiła przedmiot badań językowych i etnograficznych. Językoznawcy uważali, że wyznacza ją linia rzeki Osławy, etnografowie przyjmowali, iż sięga ona górnego Sanu. Obecnie za najbardziej naukowo udokumentowaną tezę przyjmuje się twierdzenie profesora R. Reinfussa, że wschodnia granica Łemkowszczyzny sytuuje się między zlewiskami górnej Osławy i Solinki. Ostatnie wsie łemkowskie na wschodzie to Komańcza, Rzepedź, Szczawne, Turzańsk. Komańcza była kiedyś popularnym letniskiem lwowian.

Jak liczna była grupa Łemków zamieszkujących przed 1939 r. tereny województwa lwowskiego i krakowskiego? Na początku lat trzydziestych Łemkowie zamieszkiwali zważenie 160 wsi liczących około 100 tys. ludności (S. Udziela, *Ziemia łemkowska przed półwieczem*, Lwów 1934, s. 8).

W przedwojennych przewodnikach podawano, że Beskid Niski, zwany inaczej Łemkowszczyzną, dzięki rozległym widokom i łagodności stoków posiada wybitne walory turystyczne oraz doskonale zachowane osobliwości etnograficzne. Ludność łemkowska kultywuje ciekawe zwyczaje, obrzędy i oryginalny strój.

Łemkowie są wyznawcami kościoła wschodniego, ale i przed, i po II wojnie światowej nie byli grupą jednolitą — jedni wyznawali prawosławie, drudzy — obrządek greckokatolicki. To rozdzielanie religijne nie było z początku źródłem poważniejszych napięć politycznych, bo przecież dzieliła jedynie różnica języka liturgicznego i odmienność strukturalno-organizacyjna.

Kościół greckokatolicki stawał się, zwłaszcza w okresie pasterzowania metropolity lwowskiego Andrzeja Szeptyckiego, terenem dojrzewania ukraińskiej świadomości narodowej wśród ludności ruskiej. Łemkowie stali się w polityce tego kościoła, który był nie tylko kościołem ukraińskim, ale ukraińotwórczym, swoistym polem działań quasimisyjnych z prawosławia na obrządek unijny, a także działań politycznych.

Ocena procesów „ukrainizujących” Łemków nie jest przez historyków jednoznaczna, podobnie jak problem ich pochodzenia. W. Serczyk, pisząc o stosunkach politycznych i polskiej polityce administracji lokalnej II Rzeczypospolitej, obwinia ją o wywoływanie waśni między różnymi grupami Ukraińców, podkreślając ich rzekomą odrębność narodową, a przecież „w rzeczywistości Huculi, Łemkowie i Bojkowie różnili się między sobą jedynie dialektem” (W. Serczyk, *Historia Ukrainy*, Ossolineum 1979, s. 413).

Wypada tu zwrócić uwagę, że jest to duże uproszczenie. Kiedy w latach trzydziestych wyszła z Wołynia ofensywa kleru prawosławnego skierowana ku greckokatolickim parafiom Łemkowszczyzny, odpowiadała jej kontrakcja księży unickich broniąca nie tylko obrządku religijnego Łemków, ale umacniająca ich poczucie tożsamości narodowej w kierunku identyfikacji z Ukraińca-

mi. Bohdan Cywiński wyraża opinię, że lata trzydzieste były widownią radykalnej ukrainizacji Łemków przy pomocy specjalnie do tej akcji dobieranego kleru greckokatolickiego o wyraźnym obliczu nacjonalistycznym (B. Cywiński, *Korzenie tożsamości*, Papieski Instytut Studiów Kościelnych, Rzym 1982, s. 122). Celom tym służyła również prasa, np. wychodzące przed wojną we Lwowie czasopismo „Nasz Łemko”. W odpowiedzi na to środowisko Łemków nie utożsamiających się z Ukraińcami, skupione wokół swojej organizacji w Krynicy, zaczęło wydawać własne regionalne pismo „Łemko”. W celu przeciwdziałania akcji ukrainizacji łemkowskiej cerkwi greckokatolickiej utworzona została w 1934 r. odrębna od struktur trzech diecezji unijnych — lwowskiej, stanisławowskiej i przemyskiej — jednostka kościelna, jaką była Administracja Apostolska Łemkowszczyzny, podległa wprost Watykanowi. Według danych „Annuario Pontificio 1943” w chwili wybuchu II wojny światowej kościół greckokatolicki w Małopolsce Wschodniej liczył 3587 wyznawców w wymienionych trzech diecezjach, łącznie z Administracją Apostolską Łemkowszczyzny.

Wśród Łemków byli i są nadal Łemkowie prawosławni. We wsiach łemkowskich, np. w Bartnem, stały dwie cerkwie — jedna prawosławna, jedna greckokatolicka. Rozwarstwienie religijne Łemków było dobrą pożywką dla rozgrywek politycznych. Ukraiński ruch narodowy, który zaczął infiltrować Łemkowszczyznę na przełomie XIX i XX w., spotkał się tam z oporem wyznawców prawosławia o tzw. orientacji staroruskiej. Sytuacja zaostriżyła się znacznie w okresie I wojny światowej, ale prawdziwy dramat przyniosły dopiero wydarzenia związane z II wojną światową.

Według dzisiejszego podziału administracyjnego dawna Łemkowszczyzna należy do woj. nowosądeckiego i krośnieńskiego. Dwie duże akcje przesiedleńcze, których powody i okoliczności są znane, choć odmiennie interpretowane przez stronę polską i ukraińską, zmieniły strukturę Łemkowszczyzny. Pierwsza akcja przesiedleńcza odbyła się między listopadem 1944 a sierpniem 1946 r. Przeprowadzono ją na podstawie układu z 9 IX 1944 r., który postanawiał, że „Przesiedleniu z terenów Polski do USSR podlegają wszyscy obywatele narodowości ukraińskiej, białoruskiej, ruskiej i rusińskiej” (A. Kwilecki, *Fragmenty najnowszej historii Łemków*, Warszawa 1970, s. 29). Nie wspomniano w nim o Łemkach, traktując ich zapewne jako Rusinów lub Ukraińców. Ale Łemkowie wyjeżdżali, zwłaszcza ze wschodnich terenów swojej ojcowizny — okolic Jasła i Krosna, gdzie zdecydowanie mocniejsza była tożsamość ukraińska niż na zachodzie, gdzie dominowała „tożsamość łemkowska”. Ci drudzy, niechętni wyjazdowi, zaczęli się przeciwstawiać naciskom administracyjnym. Dokumentowali swój pozytywny stosunek do Polski, odrzucali oskarżenia i podjeżdżenia o współpracę z UPA.

Dane statystyczne o liczbie Łemków pozostałych w Polsce nie są ścisłe. Sądzi się, że zostało ich około 40%. Przesiedlenia związane z akcją „Wisła” prowadzone były na podstawie kryterium etnicznego, niezależnie od poczucia narodowego i przekonań politycznych. W wyniku tego nie tylko ludność, która współpracowała z UPA, ale również mieszkańcy wsi, które nie były terenem działalności tej nacjonalistycznej organizacji, zna-

lażła się w województwach zachodniej i północnej Polski. Od 1956 r. pojedyncze rodziny łemkowskie zaczęły powracać do swoich dawnych siedzib — Izb, Wysowej, Blechnarki, Hańczowej, Gładyszowa w woj. nowosądeckim.

W 1983 r. reaktywowano prawosławną diecezję przemysko-nowosądecką, tak więc Łemkowie nie będący unitami posiadają również swoją hierarchię kościelną. O ile sprawy religijne i relacje cerkiew prawosławna — cerkiew greckokatolicka nie wywołują obecnie napięć, o tyle manifestacja świadomości narodowej Łemków nie jest sprawą jednoznaczną. Czy czują się ruskimi góralami, po prostu Łemkami z własną oryginalną kulturą, językiem i obyczajami, czy też utożsamiają się z Ukraincami i popierają dążenia do niepodległości Ukrainy? W kontekście dramatycznych wydarzeń sprzed 45 lat trzeba również postawić pytanie, ilu Łemków czuje się związanych ideowo z tak tragicznie wpisaną w polską historię działalnością OUN-UPA?

Należy tu od razu wyjaśnić, że UPA nie działała w środkowej i zachodniej Łemkowszczyźnie, ale za to potężne wpływy miała we wschodniej części tego regionu, zwłaszcza we wsiach usytuowanych na południu powiatu sanockiego. Działało tam kilka oddziałów UPA (sotnie „Kryłacza”, „Łastiwki”, „Hrynja”) wchodzących w skład okręgu wojskowego „Sian”, którego dowódcą był Myroslaw Onyszkewycz, rozpoznany i aresztowany we Wrocławiu 2 III 1948 r. Grasowała tam również grupa „Smyrnegol”. Po wysiedleniu Łemków w 1947 r. zorganizował on tam z pozostałych nacjonalistów i konspiratorów niewielki oddział, który działał po obu stronach polsko-czechosłowackiej granicy do jesieni 1948 r. Wiadomość tę podał źle zapisany w pamięci Polaków dowódca odcinka taktycznego UPA „Daniliw” Ewgen Sztendera (zob. *Badania nad dziejami UPA w PRL*, Sucasnist, z. 1—2, Monachium 1985, s. 137).

Trzeba jednak wyjaśnić, że wysiłki UPA, by zwerbować młodych Łemków — poza nielicznymi wyjątkami — nie przyniosły spodziewanego rezultatu. Píše o tym również Edward Prus (zob. *Atamania UPA. Tragedia kresów*, Warszawa 1988, s. 304). Potwierdza to również Paweł Stefanowski, gospodar Obywatelskiego Kręgu Łemków w

Polisce, a nieliczni, którzy tam poszli, zrobili to bądź z racji politycznych, bądź pod przymusem (zob. wywiad z P. Stefanowskim, Rzeczpospolita 3 X 1990 r.).

Dzisiaj Łemkowie, których pradziadowie stworzyli własną oryginalną kulturę na ziemiach I i II Rzeczypospolitej, są społecznością rozproszoną. Ci niewinni ponieśli takie same konsekwencje, jak ci winni, w wyniku przesiedleń akcji „Wisła”, za którą zresztą ponosi odpowiedzialność ówczesna władza komunistyczna. Rzecz znamienna — zarzucając Polakom zastosowanie wobec Łemków zasady odpowiedzialności zbiorowej, stosują Ukraińcy tę samą zasadę odpowiedzialności zbiorowej narodu polskiego za akcję „Wisła”. Czyli jak w opowieści ewangelicznej — widzi się żdźbło w oku swego brata, nie widząc belki we własnym.

Daliśmy już wyraz naszym przekonaniom w liście do Pana Marszałka Senatu RP, że może budzić uzasadniony sprzeciw zastosowanie środków przymusu wobec społeczności Łemków, ale potępienia domagają się też inne nieprawości, na których temat panuje w parlamencie polskim milczenie.

Obojętnie, z jaką narodowością identyfikują się w Polsce Łemkowie, czy czują się Ukraincami czy odrębną grupą etniczną górali karpaccich, ci którzy nie splamili swoich rąk i swoich sumień mordami Polaków, mają moralne prawo do swoich domów i lasów. Obecne realia społeczno-prawne każą sądzić, że łatwiej będzie oddać lasy niż zagrody. Jeżeli nie zostały zniszczone, to zasiedlili je 45 lat temu polscy osadnicy, z których część być może pochodzi z kresów południowo-wschodnich II Rzeczypospolitej i którym udało się ocalić życie i nie paść ofiarą okrutnych mordów UPA.

Według oceny wspomnianego już gospodarza Pawła Stefańskiego wielu rdzennych Ukraińców rażą tendencje separatystyczne Łemków. Ale tak ujęty problem prowadzi do wniosku, że mogą istnieć nierdzenni Ukraińcy — po prostu Ukraińcy z wyboru, a nie z „kodu genetycznego”. Poczucie tożsamości narodowej jest zatem wyłącznie sprawą Łemków i oni ją sami rozstrzygną, jak zechcą. Ale jak oświadczył gospodarz łemkowski, nie chcą oni być kartą przetargową w negocjacjach polsko-ukraińskich.

TADEUSZ PELIKAN

Tragedia Ksawerówki

W październiku 1990 r., w 48 rocznicę powstania UPA, we wsi Stary Uhrynów pod Stanisławowem został odsłonięty pomnik Stefana Bandery. W uroczystości wzięło udział ponad 1000 „weteranów” UPA. W rozpowszechnianych przez OUN gazetkach drugiego obiegu pisze się o bohater-skiej walce banderowców z hitlerowcami i bolszewikami. Te raczej zaskakujące dla ludzi z kresów fakty przywołują na pamięć jakże bolesne wydarzenia. O jednym z nich chciałbym opowiedzieć.

Na początku 1944 r. armie niemieckie były w odwrocie. Jednocześnie rebelia ukraińska przesunęła się z terenów przyfrontowych, wykazując największe nasilenie w pow. kałuskim, stanisła-

wowskim, stryjskim. Niemal każdej nocy łuny pożarów dawały znać o rozgrywającej się tragedii, o nowych ofiarach banderowskich napadów.

Ksawerówka, osada zamieszkała przez 39 rodzin wyłącznie polskich, położona była na zachodnim krańcu miasteczka Tyśmienica wzdłuż drogi wiodącej do Stanisławowa, od którego była oddalona o 8 km. To skupisko ludności polskiej już od dłuższego czasu było przysłowiową solą w oku banderowców. Każda noc była niespokojna. Pozostawało tylko czuwanie.

Przyszła noc 27 marca 1944 r. Około północy banderowcy zaatakowali wieś jednocześnie w kilku punktach, wrzucając do mieszkań granaty, które zabijały i raniły ludzi oraz wznicały po-

żary. Mieszkańców próbujących ucieczki z płonących domów spotykały serie pocisków. Tak zginęła Maria Piwowarczyk wraz z czworgiem dzieci w wieku od 3 do 16 lat, którym nie udało się zbiec z płonącego domu. Wokół czaiła się śmierć. W sadzie obok swego domu zginął Karol Białek. Franciszek Gołas i Bronisława Bogusz spłonęli w stodole. W rowie przy drodze znaleźli śmierć listonosz z Tłumacza, który ze względu na godzinę policyjną zatrzymał się na nocleg u jednego z tutejszych mieszkańców. Odłamki granatu zabiły Edwarda Bogusza. Podobny los spotkał trzech niemieckich żołnierzy, którzy przebywali na kwaterze w mieszkaniu Kotopków. Jan Kotopka uciekał przez okno, ale tam trafiły go pociski. Jeden z niemieckich żołnierzy, który uniknął śmierci, w białiznie, boso rzucił się do ucieczki na przełaj przez pola. Po pokonaniu kilku kilometrów trafił do domu na południowym krańcu Tyśmienicy w stanie zupełnego wyczerpania.



Kurhan i tablica ku czci UPA w Truskawcu.
Fot. Stanisław Gawliński

Ksawerówka płonęła. Łuny pożarów krwawo rozświetlały niebo. Interwencja oddziału niemieckich żołnierzy przysłała za późno. Dzieło zbrodni zostało dokonane.

A oto jakby epilog tej tragicznej historii. Niedawno trafiła do moich rąk broszura zatytułowana *Tyśmienycia* wydana w języku ukraińskim w Nowym Jorku w 1958 r. Jej autorem jest były mieszkaniec Tyśmienicy inż. Pawło Wołosienko, który w 1944 r. opuścił to miasto, a następnie przedostał się do USA. Swoją historię Tyśmienicy, bo o tym traktuje ta broszura, kończy on wzmianką o losie Ksawerówki: „Niemcy utworzyli policję kryminalną niemal wyłącznie z Polaków, tzw. KRIPO (!)*, która obchodziła się

z Ukraińcami w sposób wyzywający; tyśmienickie KRIPO już pod koniec pobytu Niemców sporządziło listę Ukraińców i przekazało ją w ręce Gestapo zaznaczając, iż są to dywersanci. Niemcy, którzy już wtedy wycofali się, nie mogli ich aresztować, gdyż ci zdążyli się ukryć; ale Ukraińcy, chcąc się Polakom odwdziżyć, spalili około trzydziestu polskich domów; była to osada kolonistów, którzy osiedli w ostatnich czasach przy drodze pomiędzy Tyśmienicą a Stanisławowem.”

I ani słowa o zamordowaniu kilkunastu ludzi. Ani słowa o tym, że na tamtych terenach istniała tylko policja utworzona przez Niemców oraz SS-Hałyczyna, w której skład wchodził wyłącznie Ukraińcy.

Tak nacjonałiści ukraińscy rozumieją i piszą dzieje stosunków polsko-ukraińskich.

* Wykrzyknik został użyty przez autora artykułu.

TADEUSZ PELIKAN

Tyśmienica

Pamięci Rodziców

Sławił niegdyś poeta twój most na Woronie*,
Kędy gnały weselne przystrojone konie.
Powiewało wstążkami i muzyka grała,
Pieśń zadziorna, wesoła nad rzeką leciała ...
... I „uciekło wesele”, czas tamten przeminął,
Rzeka nieszczęść obfitą spłynęła lawiną.
Łuna niebo pokryła czerwona, złowieszczą,
Diabeł przyszedł do ludzi i wszystko pomieszał.
Smutek posiał i trwogę, zaszczerpił cierpienie,
Podciął żywe od wieków w tej ziemi korzenie.
Wyruszyli pielgrzymi na drogi tułacze,
Opuszczali cię z bólem w swych sercach i płaczem ...
I jawisz się im odtąd w rozległej dolinie,
Tam, gdzie rzeka Worona ku Bystrzycy płynie,
Tam, gdzie w stronie południa pod nieba błękitem,
Szczyty Karpat się bielą śniegami pokryte.

marzec 1990 rok

* Tadeusz Hollender (1910—1943) *Ballada o moście*.

LITERATURA

RYSZARD KOPER

Pytasz
czy jestem
pukasz, dzwonisz
chcesz mnie
lecz ja
wkrecony w myśli
ciszy przerywanej
odgłosem
uderzeń serca
oddalającego się
stoje przyparty
do ściany niechęci.

ZDZISŁAW J. ZIELIŃSKI

Przeżyte na Gródku*

Kiedy mnie kto pyta, gdzie mieszkałem we Lwowie, i odpowiadam właśnie: „na Gródku”, dochodzi często do nieporozumienia. „W Gródku Jagiellońskim?” — pyta on z kolei. Jakoś nie utrzymała się konkretnie tożsamość tej dzielnicy w świadomości lwowiaków, mimo że to przecież popularny Szczepku ją reprezentował (od charakterystycznego kościoła Św. Elżbiety, który kojarzono z katedrą Św. Szczepana w Wiedniu). Występował też Gródek w znanym *Łyczakowskim tangu*, a miał przecież swój reprezentacyjny *Gródek-marsz*.

Dla większości lwowian ta część miasta kończyła się na okazałym kinie „Roxy” (w gmachu ZZ Kolejarzy). Trochę dalej była dopiero rogatka gródecka, Bogdanówka, Sygniówka i Lewandówka, nie mówiąc o dalszych przedmieściach. I właśnie na tej rogatce, obok placu targowego, komisariatu i „remizji” tramwajowej znajdowało się jeszcze jedno kino, o dźwięcznej nazwie — „Gloria”. Myśmy mówili po prostu — „Bratrura”. Nie duże, parterowe i, co najważniejsze, tanie. Pamiętam, że kiedy to było w modzie — dawano w nim rewie. Tam chyba po raz pierwszy w życiu widziałem film i oczywiście krzyczałem, kiedy samochód „wjeżdżał” na widownię. Tu także oglądałem pierwsze filmy kolorowe, takie jak *Książę i żebrak* i *Ryszard Lwie Serce* — oba z ulubionym bohaterem mojego pokolenia, Errolem Flynnem. Kino było pewnie żydowskie, ale przed Wielkanocą szły tu takie obrazy, jak *Król królów* i *Golgota*.

Na rogatce wokół placu było parę sklepów i sklepików żydowskich: u Szapiry można się było zaopatrzyć w nasiona, kaszę i kawę, u Romana zaś kupowało się papeterię, ale przede wszystkim korki i „kabzle” do pistoletów, „pypki” na oblewany poniedziałek, a także gumę „olejną” — początkowo do katapuli, a później do modeli latających. Miał tu swój sklep Kahane (Tonia chodziła ze mną do jednej klasy). Były oczywiście i sklepy polskie, „chrześcijańskie”, jak np. mięsny Pierożka. Przybywało też ukraińskich sklepów spółdzielczych: spożywcza „Narodna Torhiwla”, nabiałowy „Masłosojuz” i mięsny „Centrosojuz”. Podobnie jak żydowskie, konkurowały z polskimi niższymi cenami. W czasie wojny, niezależnie od zmieniających się reżimów, zachowały one nie tylko nazwy i charakter, ale także obsadę i kierownictwo. Oto co może zdolność adaptacji, no i ten charakter właśnie.

Z rogatki szło się do Bloków około 5–10 minut. Przechodziło się pod oknami budynku remizyjnego, w którym znajdowała się sala prób orkiestry dętej. Nie tyle się zatem przechodziło, co przystawało, aby posłuchać tego zespołu. Do dziś dźwięczą mi w uszach zapamiętane melodie: *Alte*

Kameraden czy też *Marsza florentyńskiego* *Fu-čika*. Ale przed nami już Bloki — tak je wszyscy nazywali. Były to istotnie cztery nowoczesne bloki mieszkaniowe ZUS. Nieopodal stał jeszcze jeden, ale już innego pochodzenia i o innym wyglądzie. Mówiło się o nim „magistracki”, a jeszcze częściej „Magiki”. Mówiąc ogólnie, nie przepadaliśmy za chłopcami z „Magików”.

Bloki były białe, zbudowane w stylu wczesnych lat trzydziestych. Usytuowane między ulicami: Żeromskiego, Liskego i Tatara-Trzeńskiego (!), były bardzo zadbane w szczegółach architektonicznych, jak kształt i konstrukcja oświetlanych numerów, klamki drzwi wejściowych, poręcze, a nawet „rynwy” (miedziane). Otoczone siatką, z trawnikami okalającymi obszerne podwórce wysypane czarnym „haszem” (drobną szlaką). W czasie ulewnych deszczów część podwórza zamieniała się w jezioro. W ciepłej wodzie nie tylko brodziło się z przyjemnością, ale i puszczano łódki z kory i żaglowe stateczki. „Jedenastka” miała swoje podwórko, konkurencyjne. Biliśmy się z nią czasami, ale na ogół niegroźnie.

Za Blokami rozciągały się rozległe, aż po Kulparkowską i Zadwórzeńską, pola „bułgarskie”. Ponoć rzeczywiście dzierżawili je Bułgarzy, uprawiając na nich pomidory — obiekt naszych sportowych raczej skoków. Za Sowietów ćwiczyły tu czołgi i artyleria przeciwlotnicza.

Tuż za Blokami pole wypiętrzało się w mały pagórek zwany „Górką”. Z całej okolicy schodziły się tu w zimie dzieci na „sanioty” i „lajfy”. U podnóża Górki mała dolinka przechodziła w takiż rów i jar, którym okresowo płynął potok z pobliskiego stawu. Staw pośród rozległych pól nazywano „Batiarówką” albo „Zieliną”, jako że należał kiedyś do folwarku niejakiego Zielińskiego. Kiedy staw wylewał, we wklęsłościach pól tworzyły się jeziora, na których również puszczano się okręci. Roztopy wiosenne i letnie ulewy zawsze kojarzą mi się w pamięci ze struganiem żaglówek i ... „facką” w domu za „sflagane” buty. Szczególnie w czasie wojny.

Pewnej wiosny, po długotrwałych deszczach staw wylał tak dalece, że płynący za Blokami potok zamulił doszczętnie kratę kanałową i woda płynęła ulicą Żeromskiego, niosąc ze sobą drobne, ale liczne rybki — różanki. Można je było łapać rękami. Po normalnych wiosennych roztopach woda długo utrzymywała się w okolicznych rowach, co wystarczało do rozwinięcia się w niej bogatego życia. Wzbogacało to moje domowe „dzikie” akwarium w larwy komarów i ważek, wodopójki, chruściki, zadychry, a nawet rzadkie przekopnice. Cała jednak woda z tej okolicy zasilała dopływy Dniestru, a więc basen Morza Czarnego. Wynikało to ze specyficznego międzynarodowego usytuowania Lwowa na europejskim dziale wodnym.

Do szkoły też nie było daleko, a była to szkoła szczególna — im. Henryka Sienkiewicza. Pierwsza placówka w Obronie Lwowa, dowodzona przez kpt. Zdzisława Tatara-Trzeńskiego. On jej bronił w pierwszych dniach i stąd robił wypady

w celu zdobycia broni i żywności dla walczących. Tu rodziła się walka o polski Lwów, ale też narodziło się kpiarskie przezwisko, wykorzystywane później w społeczności dziecięcej — „kartoflane wojsko”. Kiedy brakowało broni dla dorosłych, masowo zgłaszającą się młodzież i dzieci zaganiało do kuchni, skąd zresztą przyskaki na pierwszą linię.

Szkoła pieczętowała przechowywała tradycje tych dni. Moją wychowawczynią przez całe 5 lat — aż do okupacji — była p. Zofia Staszyńska, żołnierz Obrony Lwowa (Ochotnicza Legia Kobiet). W święta narodowe chodziła w szykownym mundurze z odznaczeniami. Całą klasą odbywałyśmy wycieczki na cmentarz Obrońców Lwowa, by porządkować i przysstrajać groby. Przechodziliśmy tam lekcje najnowszej historii. Zapalaliśmy lampki naszym rówieśnikom. Ale przedtem przygotowywałyśmy piękne kartonowe lampiony z ażurowym wyklejonym kolorowymi bibułkami. Raz było mi tego za mało i poszedłem tam z mamą w Dzień Zaduszny. Było pięknie, ale i silny wiatr, co dało mi możliwość nowego zaangażowania. Biegałem od grobu do grobu, zapalając wygasłe znicze i gasząc zapalające się lampiony. Byłem bardzo zadowolony z tego kawałka dobrej roboty.

Znacznie mniej byłem zadowolony, kiedy mnie mama brała ze sobą „na kupno”, po to żebym się nie zadawał z batiarnią na podwórzu. Przejazd tramwajem mieliśmy bezpłatny, więc opłacało się pojechać na większy targ, gdzie większa podaż, a więc niższe ceny. Najbliższy był wprawdzie Plac „Unibrzeski” (Unii Brzeskiej), ale jeździło się i do Rynku, i na Plac Węglarski. Bardzo tego nie lubiłem: łażenia wśród hałaśliwego tłumu i targowania się o parę groszy. Dopiero dziś potrafię w pełni rozsmakować się we wspomnieniach o lwowskich bazarach. Do dziś przechowuję pod powiekami niezwykle barwną scenę tych miejsc, a w nozdrzach ich specyficzny koktajl zapachowy.

Baby rozsiadły wśród tłumoków wypełnionych ... kwiatami róży. Obskubujące ich płatki na wielkie kolorowe piramidy, odrzucające szypułki z „gulkami” dna kwiatowego (zbieraliśmy to do zabawy). Błyskawicznie łuskające bób na wielkie seledynowe sterty ziaren i jeszcze większe stosy łup. A tu znów kukurydza, wyłupywana z łuskowatych osłon. Co stoisko to inny kolor, inna woń. Tym bardziej że tuż obok też kukurydza, ale gotowana, a nieco dalej takież bób — „hajse bobele”! W jesieni zastępowały je pieczone w specjalnych piecykach kasztany — marony. Róża przeznaczona była do smażenia; na świetny, gorzkawy sok i na konfiturę. Czyż można sobie wyobrazić lepsze pączki, jak tylko z różą? Lwowskie pączki, posypane „cukier-mączką”, koniecznie z obrączką! Albo rogaliki. Przecież te lukrowane, gumiste twory z byle jaką marmoladą nawet się do tego nie umywają!

To były prawdziwie wschodnie, wielojęzyczne bazy. Jak trzeba, targowało się i po rusku. Żydzi dodawali do tego swój głośny szwargot. A przecież byli i Ormianie, o pięknych tradycjach handlowych. Kiedy jednak później doszli do tego Rosjanie i Niemcy, to już były zupełnie inne bazy — wojenne: groźne i ponure. Tu się już nie słyszało śpiewu (dosłownie — to da się przekazać w zapisie nutowym), którym przekupki zachwalały swój towar: „Anu komu moja piękna bulba za dwadzieścia groszy ...!” Tu się nasłuchiwało bud

policyjnych albo wypatrywało żulików. Znikły krwiste kawony i zaleszczyckie winogrona, a pojawiły się gołąbki z ... kartoflami i „lemoniada” na sacharynie. Dla smakoszy zaś „bękarty”, czyli „żuliki” z półkwaterką „bajury”.

Przy okazji tych wyjazdów poznałem trochę bliżej swoje miasto. Nieświadomie, ale wrastałem w nie, chłonałem je jako moje naturalne otoczenie. Miało starczyć tego poznawania na długie lata wojenne, kiedy to taki proceder byłby trudniejszy, a nawet ryzykowny. To oddalone od mego Gródka zabytkowe centrum stawało mi się coraz bardziej swojskie — moje własne. Kamieniczki w Rynku, Katedra, Kaplica Boimów, pomniki: Mickiewicza, Sobieskiego, Jabłonowskiego. Do znajomych jeździło się obok Cerkwi Wołoskiej (kiedy tramwaj z wizgiem opuszczał mrok ulicy Ruskiej — nagle olśnienie spatynowanych kopuł na surowych ciosach piaskowcowych) i cerkwi na Żółkiewskiej. Zdarzało się, że na Boże groby odwiedzało się wnętrza zabytkowych kościołów starego miasta, cerkwi i Katedry Ormiańskiej jednocześnie. U Dominikanów było niby w pałacu, a u Bernardynów cicho i mroczno — nastrój dla skupionej modlitwy.

Już przed Mikołajem, ale i przed świętami „Trust” w Rynku przyciągał chłopców rzesiście oświetlonym teatrem wojennym. Te czołgi, armaty, samoloty, no i kilkadziesiąt chyba pudeł ołowianych żołnierzy! A wszystko z gustem i znanstwem rozstawione w „prawdziwym” terenie. To była po prostu metalowa bajka! Niedługo już miała stać się rzeczywistością ... W tym czasie znowu cukiernie stroiły się w marcepanowo-piernikowo-cukrowe cuda. Najpiękniejsze oczywiście u Zalewskiego na Akademickiej, chociaż i Höfflinger, i Dudek ... Choć zapewne nie dla wszystkich i nie zawsze te wszystkie cuda. Zdarzyło się, że wpadliśmy z mamą w „rozruchy” — tak się to wtedy nazywało. Na Wałach Hetmańskich, z jednej strony, tłum bezrobotnych, z drugiej — szarżująca z pałkami policja w niemieckich granatowych hełmach ze srebrnymi orłami. A z boku podwożące ich z wyciem syren samochody. To się miało później jeszcze nieraz powtórzyć: i syreny, i pałki, i przemoc, i dławiący strach. Opuszczane z hukiem rolety na witrynach żydowskich sklepów, powybijane szyby, porozbijane latarnie, kamienie i półceglówki na bruku. Korporanci w kolorowych deklach z lagami w rękach ...

Powoli nadchodziło to najgorsze. Uwerturę stanowiła euforia Zaolzia. Polska mocarstwowa: Silni — zwarci — gotowi! Już wkrótce miało się okazać jak bardzo ... Mieliśmy działkę u stóp radiostacji przy drodze Lubieńskiej. Stale obserwowałem stamtąd loty ćwiczebne „karasi”. Potężny huk, zwarte sylwetki, lśnienie kabin — aż miło popatrzeć. Raz pojawiły się nad miastem „łosie” — nowoczesne, dwumotorowe, dwusterowe. Długo odprowadzaliśmy je rozognionym wzrokiem. Tankietki szły na defiladzie w mgiełce spalin — pancerni.

Było to późne sierpniowe popołudnie. Słońce przestało przypiekać, a światło nabrało ciepłych tonów. Na pustawych dotąd chodnikach gromadzili się ludzie. Na murach i parkanach bieleły świeże afisze: mobilizacja! Na dziedzińcach domów kolejowych, naprzeciw Dworca Czerniowieckiego było aż gęsto od koni, żołnierzy i wszelkiego rodzaju pojazdów.

Ułani Jazłowieccy, 14 pułk — duma miasta („Hej dziewczęta, w górę kiecki, jedzie ułan jazłowiecki!”). To oni właśnie otwierali defiladę 3-Majową, to ich orkiestra na białych koniach grała marsza, który mi dotąd żywo dźwięczy w uszach. Teraz słysząc było gromkie pokrzykiwanie, rżenie koni, turkot kół. W kawaleryjskich hełmach, polowych mundurach, skrzypiąc nowymi rzemieniami ładowali się do pociągów, na front. Nie mogłem wtedy wiedzieć, że wezmą efektywny udział w bitwie nad Bzurą i przebiją się do oblężonej stolicy szaleńczą szarżą pod Wólką Węglową, tam stracą swoje konie, a wielu i życie, a ja po latach odwiedzę ich cmentarzyk na Łomiankach. Nie mogłem przypuszczać, co to wszystko może oznaczać — miałem wówczas dziesięć lat. Kończyło się właśnie moje dzieciństwo sielskie — w Blokach, nad polami i stawem ...

Początek września wypadł w piątek. Ale nie poszliśmy do szkoły — wszędzie wyczuwało się niepewność chwili. Nawet słońce przyświecało tak jakoś niezdecydowanie, jakby fałszywie, jakby zapowiadało deszcz. A przyszła burza ... Potem nadciągnęły chmury, od zachodu — ciemne, ołowiane. Ojciec w pracy, mama w mieście (miała załatwić tzw. żelazne porcje, ale już było za późno — brakowało nam ich potem bardzo ...). Zamknąłem mieszkanie („Żebyś mi tylko kluczy nie zgubił!”) i pobiegłem na Górkę kopać z innymi okopy. Wszyscy dokoła kopali. Na starym cmentarzu koło domów kolejowych dokopali się do kości, w których jeszcze był szpik — sam widziałem.

Były nowe łopaty i dżagany, w które na wypadek wojny wyposażono nasze bloki. A swoją drogą, oryginalne słowo, gdzie indziej nie znane. Przypomina czekan, zarówno górski, jak i bojowy, a wywodzi się z węgierskiej nazwy toporka bojowego csákány. Ciekawe też, że nie można go znaleźć w licznych ostatnio słownikach lwowskiej gwary. Wtedy oczywiście o tym nie myślałem, ale ostro wziąłem się do roboty, jak tylko zdobyłem coś do kopania, co nie było takie łatwe. W miękkim żółtym lessie kopało się lekko i przyjemnie — zabawa!

Na ciemnym niebie pojawiły się gdzieś od Sygniówki klucze dwumotorowych bombowców. Znowu oczy się nam zaświeciły — to „łosie”, widzieliśmy już przecież ... Oderwali się od roboty. Obserwowaliśmy je w niemym zachwycie, kiedy nagle wykwitły wśród nich błyski i czarne obłoczki wybuchów. W jednym momencie zrozumieliśmy — i co sił w nogach do Bloków; do bram, do piwnic i praczkarni, które stanowiły prymitywne schrony. Zaczęło się!

Bloki leżały stosunkowo blisko rozległego torowiska kolejowego, trochę dalej od obu dworców: Czerniowieckiego i Głównego. Wstrząsy od wybuchów bomb były bardzo silnie odczuwane. Ludność w schronie odbierała to w panice, jęku, płaczu i modlitwie. Eksplodowały nawet butelki z przecierem pomidorowym, co jeszcze pogłębiało ogólny nastrój. Pierwszy nalot zdawał się nie mieć końca. Do dławiącego strachu dochodziła u mnie jeszcze świadomość zupełnego osamotnienia: bez ojca, matki — tylko z kluczami. Nie wiadomo było przecież, jak się to wszystko skończy, czy rodzice wrócą z bombardowanego miasta, no i co dalej.

Skończyło się wreszcie — syreny odwołały

alarm. Na dworze panowała piękna pogoda. Oślepiające słońce kłuło w oczy, przywykłe już do piwnicznego mroku. Ani śladu chmur. To miało się zresztą powtarzać później po każdym nalocie: wybuchy pocisków przeciwlotniczych i bomb rozganiały obłoki. Przenikliwa cisza, spokój i pustki na ulicach. Powoli nadciągali ludzie z miasta — oszołomieni, zszokowani tym, co widzieli po bombardowaniu. Wrócił też, z głową w zakrwawionych bandażach, kolejarz z naszej bramy. Starszy człowiek z rodziny ukraińskiej. Byli to nacjonaliści — z czego już zdawałem sobie sprawę — stawiający na Niemców. „Dobrze mu tak — niech ma za swoje!” — pomyślałem, mimo że nie byliśmy wrogami. Wróciła wreszcie mama, a wieczorem ojciec.

Poza dramatem, który przeżywalismy wszyscy, mama przeżyła jeszcze swoją własną przygodę. Można by ją od biedy nazwać humorystyczną, gdyby nie to, że mogła się smutno skończyć. Nalot zaskoczył mamę w pobliżu bombardowanych miejsc (na Krótkiej). Była więc naocznym świadkiem rozpoczynającej się tragedii. Kiedy później tramwaje ruszyły, ludzie oczywiście o niczym innym nie mówili. Jakiś oficer oświadczył autorytatywnie, że to tylko ćwiczenia i począł mamie grozić pistoletem za rozsiewanie defetystycznych pogłosek. Chciał ją aresztować i oddać pod sąd. Uratowała mamę zdecydowana postawa pozostałych pasażerów. Jeszcze jeden dowód na to, jak byliśmy do tej wojny przygotowani — nie tylko silni i zwarci.

Potoczyły się ciężkie i trudne dni nowej egzystencji, w zupełnie nowych warunkach. Ojca wzięto do wojska. Został mi po nim zegarek, który początkowo nosiłem z dumą i nakręcałem, a potem rozebrałem. I nie znalazł się już mistrz, który by go złożył z powrotem. Wystąpiły też, normalne później, wojenne braki żywności, wody, gazu i prądu. Ogonki pod sklepami zaczęły dorównywać tym pod studniami ulicznymi. Miasto zaciemnione; w tramwajach i bramach granatowe żarówki. Nie było dnia bez nalotu. A w przerwach latały bezkarnie i bardzo wysoko ich zwiadowcze samoloty. Jedynie słabe brzęczenie naprowadzało wzrok na srebrzysty punkt. Na szczęście nie bombardowali w nocy, choć my młodzi pełniliśmy gorliwie dyżury (c.d. w następnym numerze).

* Pierwsza nagroda w konkursie „Skąd nasz ród”, zorganizowanym przez Opolski Oddział TML.



Rys. Lech Grałak

Skojarzenia

Talent malarski zawsze wysoko ceniłam i żałowałam, że go nie posiadam. Możliwość uwiecznienia przeżywanych obrazów, to tak jak zatrzymanie czasu w biegu. Brak tego talentu malarskiego usiłuję zastąpić pisaniem słowem. I gdybym zamiast „piora” trzymała w ręce paletę i pędzel, to moje obrazy byłyby w stylu Picassa, tzn. tu oko, tu nos, gdzie indziej usta..., a jednak wszystko „trzyma” się całości. Stąd tytuł *Skojarzenia*, bez przestrzegania chronologii, a wręcz przeciwnie — jakby książka kartkowana w przeciwnym kierunku.

Kiedy po raz pierwszy dostałam miesięcznik „Semper Fidelis”, myśl moja skojarzyła się z osobą profesorowej Marii Witkiewiczowej. „Szkoda, że tego nie doczekała” — pomyślałam i pobiegłam do jej córki Ewy, mieszkającej nieopodal nas. Dawno tam nie byłam i z przyjemnością stwierdziłam, że nic się nie zmieniło od śmierci matki.

Postać pani Marii Witkiewiczowej była silnie związana ze wspomnieniami lwowskimi i wrocławskimi. Łączyło nas wiele. Profesorowa wraz z córkami mieszkała na Biskupinie na ul. Stanisławskiego 19. Zaprzyjaźniona była z rodziną mego męża — profesorstwem Idaszewskimi. Z jej starszą córką — Marysią studiowałam farmację we Wrocławiu.

Życie nie oszczędzało pani Witkiewiczowej. Po tragicznej śmierci męża czekał ją drugi cios — tragiczna śmierć córki w 1967 r. To makabryczne przeżycie jeszcze mocniej nas złączyło. Zwłaszcza że osoba pani Witkiewiczowej emanowała jakąś dobrocią i pogodą usposobienia. Po prostu lubiłam być w kręgu jej działania. A ponadto czułam, że rozmowy o Marysi były jej nader mile.

Lata mijały, pani Witkiewiczowa, zmuszona warunkami bytowymi pracowała zawodowo, opiekowała się drugą córką i wnuczką; siwych włosów przybywało, sił ubywało. W 1981 r. odsłaniano we Wrocławiu tablicę z nazwiskami pomordowanych we Lwowie w 1941 r. profesorów. Jedyną z żyjących wdów była właśnie profesorowa Witkiewiczowa, która miała przeciąć wstęgę. Już wtedy źle się czuła fizycznie i wahała się, czy sprosta zadaniu. Nie zapomnę obrazka z tej uroczystości... Tłum ludzi na placu Grunwaldzkim, koło Politechniki. Pani Witkiewiczowa oparta na ramieniu córki Ewy zdecydowanym krokiem idzie ku pomnikowi. Ta jedna, która z wielkiej liczby wdów po zamordowanych jeszcze żyła. Docent Tomasz Cieszyński złożył urnę z ziemią przywiezioną ze Wzgórz Wuleckich. Dla mnie ta uroczystość miała szczególną wymowę. Byłam bowiem we Lwowie 3 i 4 lipca 1941 roku i dokładnie pamiętam ten dzień.

Kim była pani Maria Witkiewiczowa? Pochodziła z rodziny Hamerskich. Urodziła się we Lwowie 15 X 1895 r. W 1914 r. otrzymała świadectwo dojrzałości. Od 1917 do 1921 studiowała mineralogię, petrografię i geologię na Uniwersytecie Lwowskim, w 1923 otrzymała doktorat z filozofii. Następnie pracowała naukowo na Politechnice we Lwowie. W 1924 wyszła za mąż za profesora Romana Witkiewicza, co odsunęło ambicje naukowe.

Wybuch wojny w 1939 r. był dla rodziny Witkiewiczów szczególnie ciężki, jako że Roman Witkiewicz był podpułkownikiem Wojska Polskiego i zawisła nad nimi zmora zsyłki na Sybir. Ale nieszczęście przyszło z innej strony. W czerwcu 1941 r. wkroczyła do Lwowa armia

hitlerowska. W pierwszej kolejności rozpoczęły się represje w stosunku do Żydów, następnie polskiej inteligencji. Nastąpiła ta straszna noc z 3 na 4 lipca 1941 roku, wbijając się ostrzem w pamięć i serca wszystkich Polaków jako przestroga dla potomnych. Tej nocy zdradziecko, bez sądów, bez jakichkolwiek podstaw zamordowano około 25 lwowskich naukowców. Jedyną ich winą było to, że byli Polakami i naukowcami. W nocy aresztowano prof. Witkiewicza. Kiedy weszli hitlerowcy, nie znając powodu ich „wizyty”, przestrzegł, by nie otwierali drzwi jednego z pokoi, bo jest tam zły pies. Myśląc, że są to słowa dla ukrycia czegoś innego, otworzyli drzwi, a bokser Rex rzucił się na nich. Strzelili do psa, raniąc go. Pies uciekł i dopiero następnego dnia przyszedł z przestreloną, krwawiącą łapą. Świetnie opanowany przez żonę profesora język niemiecki i jej tłumaczenia nie poskutkowały; profesora aresztowano. Mieszkanie państwa Witkiewiczów znajdowało się blisko Wzgórz Wuleckich; wyraźnie słyszano strzały nad ranem... nie przypuszczano jednak, że były to strzały, pod którymi zginęli najbliżsi. Tej samej nocy prócz męża straciła pani Witkiewiczowa młodszego brata Edwarda Hamerskiego, który po skończeniu studiów rolniczych i weterynaryjnych w 1933 r. zrobił doktorat. W 1939 r. był kierownikiem Kliniki Chorób Wewnętrznych w radzieckim Instytucie Weterynaryjnym. Ponoć zginął „omyłkowo”, gdyż nie było go na liście.

Zaczęła się ciężka okupacyjna dola wdowy, obarczonej dwiema córkami. Wypędzone z własnego mieszkania zamieszkały w suterynie, a „karmienie” wszy w Instytucie Weigla było źródłem dochodu, i tym samym podstawą egzystencji.

W lipcu 1944 r. wojska radzieckie ponownie zajęły Lwów. Dr Witkiewiczowa pracowała w Katedrze Geologii na Politechnice Lwowskiej do 1945 r. Do ostatka wahała się, czy opuścić Lwów. Wreszcie wyjechała z córkami transportem zorganizowanym dla Politechniki i Uniwersytetu. Zatrzymała się we Wrocławiu. Tu dr Witkiewiczowa organizowała Zakład Mineralogii i Petrografii. Profesorem był Kazimierz Maślankiewicz. Oprócz tego była kustoszem Muzeum Mineralogicznego. Zawodowo pracowała do 1975 r.

Dzień 13 grudnia 1981 r. kojarzy mi się z imieninami pani Marii Witkiewiczowej. Obchodziła je 8 grudnia. Przyjęcie dla gości odbyło się 12, jako że była to sobota. Przyjęcia u p. Witkiewiczowej miały specyficzny charakter i urządzone były z wielką pompą. Mieszkanie wrocławskie nie straciło nic z atmosfery lwowskiej, skąpe pozostałości z dawnych czasów w postaci dobrych obrazów na ścianach i cennej porcelany na suto zastawionym stole. Tematy prowadzonych rozmów przez doborowy „zestaw” gości powodowały, że wskazówki zegara cofały się o pół wieku. Rano obudziłam się w zupełnie innej rzeczywistości. Obudził mnie apel generała W. Jaruzelskiego, czytany z pasją przez radio. To wieczorne przyjęcie i ta ranna „pobudka” to jakby dwa światy. Jakby się coś dobrego skończyło, a złe zaczynało!

Zażyłość między nami a Profesorową bardzo się zmniejszyła z biegiem upływających lat. Widziałam w niej szlachetną indywidualność, która wzniosła się na najwyższy szczebel, na jaki zdolny jest wzniesić się człowiek. I kiedy nastał kres jej życia, głęboko pojednana z Bogiem zmarła w 1983 r. Liczny kondukt pogrzebowy

proceedził biskup Urban. Wygłosił wspaniałą mowę, oceniając piękny szlak jej życia. Spoczęła w mogile obok córki w alejce cmentarza Św. Rodziny, i kiedy modłę się nad tymi dwiema mogiłami, kieruję myśli ku przeszłości i żałuję, że nie doczekała „Semper Fidelis” — stąd te moje „Skojarzenia”!

PS: Dla pełnego obrazu chcę jeszcze parę słów powiedzieć o prof. Romanie Witkiewiczu. Urodził się w Stanisławowie w 1886 r. w rodzinie inżyniera kolejowego. Maturę złożył w 1904 r. w Stryju, Wydział Mechaniczny Politechniki Lwowskiej ukończył w 1908 r. W pierwszym dniu mobilizacji w 1914 r. powołany do cesarsko-królewskiej kolejki fortecznej miasta Krakowa.

W 1917 r. odkomenderowany do budowy linii kolejowej w Serbii. W 1916 uzyskał doktorat nauk technicznych. W 1922 mianowany profesorem nadzwyczajnym Katedry Pomiarów, a w 1930 — profesorem zwyczajnym. W 1941 r., w nocy z 3 na 4 lipca zamordowany przez hitlerowców na Wzgórzach Wuleckich, około 50 m od miejsca zamieszkania. „Spojrzał w stronę Domu, przeżegnał się i upadł, jak inni” — oto relacja osoby, która tę wstrząsającą egzekucję oglądała lornetką przez okno.

Została tylko kula, pieczołowicie przechowywana przez córkę Ewę, kula, którą strzelano do psa podczas rewizji i aresztowania profesora. Jakże nikt nie jest życie ludzkie, a jak trwała pamięć!

JERZY WĘGIERSKI

Wspomnienie o Marianie Jędrzejewskim

Mariana poznałem w 1940 r. Pracowaliśmy wtedy obaj na budowie jednej z dróg prowadzących przez Lwów na wschód. Poznałem go wówczas jako Choroszewicza, a o jego prawdziwym nazwisku dowiedziałem się dopiero kilkanaście lat później; miał słuszne powody, by prawdziwe nazwisko zatajać w okresie okupacji.

Lata powojenne związały go z Zakopanem, gdzie mieszkał od 1947 r. ze swą żoną, Heleną, zmarłą tu w 1988 r. On sam zmarł 6 lat wcześniej, 17 XII 1982 r. Spoczywają oboje na cmentarzu przy ul. Nowotarskiej. Wraz z Marianem odszedł kolejny fragment okupacyjnej historii Polski.

Marian Jędrzejewski urodził się w 1907 r. w ówczesnej gubernii pskowskiej jako syn oficera armii carskiej, młodszego brata późniejszego generała dywizji W.P. Władysława Jędrzejewskiego, w latach 1919—1921 dowódcy 5 Dywizji Piechoty, a potem armii w walkach z Ukraińcami i Armią Czerwoną. Do szkoły podstawowej uczęszczał w gubernii kazańskiej, a następnie — w miarę jak rodzice uchodzili przed rewolucją — w Pietrozawodsku nad jeziorem Onega i w Borysowie na Białorusi, gdzie zmarł ojciec. W 1922 r. przedostał się z matką do Rzeżycy (późniejsze Rezekne) na Łotwie, gdzie ukończył szkołę podstawową i dwie klasy polskiej szkoły średniej. Tu należał do harcerstwa polskiego. W 1925 r. wyjechał z matką do Polski i zamieszkałszy we Lwowie pod opieką stryja generała, ukończył naukę w państwowym VIII Gimnazjum im. Króla Kazimierza Wielkiego (profil matematyczno-przyrodniczy). Należał tu do 1 drużyny harcerskiej Tadeusza Kościuszki, jednej z najstarszych w Polsce. Egzamin dojrzałości złożył w 1927 r. Rozpoczął następnie studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Lwowskiej, pracując jednocześnie w Miejskiej Kolei Elektrycznej we Lwowie. Studia przerwał i powołany do wojska, ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Saperów w Modlinie, z przydziałem do 4 batalionu saperów w Przemyślu. W 1933 r. został mianowany podporucznikiem rezerwy.

Był oficerem wywiadu, formalnie pracował jednak w Urzędzie Wojewódzkim w Białymstoku, w starostwie powiatowym w Suwałkach, a następnie w Urzędzie Wojewódzkim w Stanisławowie. W 1937 r. awansował do stopnia porucznika. Prawdopodobnie jako oficer wywiadu kilkakrotnie nielegalnie przekraczał granice, ale tajemnicę tych swoich wypraw zabrał ze sobą do grobu.

Zmobilizowany w czerwcu 1939 r. do Ośrodka Saperów-Pionierskiego 28 Dywizji Piechoty i przydzielony do 29 batalionu saperów (dowódca mjr Eugeniusz Ożóg) przeszedł szlak bojowy jako zastępca dowódcy lekkiej zmotoryzowanej kompanii zaporowej (dowódca kpt. Henryk Henzel) od rejonu Skierniewic — przez bitwę nad Pilicą — do Krasnobrodu nad Wieprzem, gdzie w dniu 22 września kompania zaporowa została rozwiązana z powodu braku paliwa.



Marian Jędrzejewski (fot. ze zbioru J. Węgierskiego)

Po kampanii wrześniowej przybył do Lwowa i tu w styczniu 1940 r. został członkiem Związku Walki Zbrojnej (ZWZ). Niedługo jednak — przypuszczalnie w rezultacie aresztowań — kontakty urwały się. Od lutego 1940 r. do czerwca 1941 r. pracował przy budowie drogi Lwów—Kijów w Winnikach pod Lwowem i tam właśnie poznaliśmy się.

Ponownie wciągnięty do odbudowywanego ZWZ, już pod okupacją niemiecką, w jesieni 1941 r. objął funkcję komendanta jednej z pięciu dzielnic — Dzielnicy Pół-

nocnej Inspektoratu Lwów-miasto ZWZ-AK; komendantem Inspektoratu był ppłk Adolf Galinowski. W sierpniu 1942 r. rozkazem gen. Roweckiego — „Grabicy” Marian został awansowany do stopnia kapitana. W rok później — wobec złego stanu zdrowia ppłk. Galinowski — zaczął go zastępować i pełnić obowiązki komendanta miasta. Gdy w marcu 1944 r. zlikwidowano komendę miasta, objął ponownie komendę dzielnic. Używał kolejno pseudonimów: „Józef”, „Kotwica”, „Ar”. Spokojny, zrównoważony, raczej małomówny, był świetnym konspiratorem. 11 listopada 1943 r. został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami — jak określono w uzasadnieniu: „za ofiarną pracę w dziedzinie organizacji oraz za doskonałe wyniki tej pracy”, a trzeba dodać, że w AK nie szafowano awansami i odznaczeniami. W akcji „Burza” był wyznaczony na dowódcę zgrupowania sił swej Dzielnic, liczącej 740 ludzi. Siły Dzielnic ujawniły się jako bataliony 19 pułku piechoty AK i zapobiegły zniszczeniu obiektów przemysłowych i komunalnych na terenie Dzielnic przez wyciągających się Niemców.

Po akcji „Burza”, gdy we Lwowie rozpoczęły się aresztowania żołnierzy AK, zszedł ponownie do podziemia i w organizacji NIE („Niepodległość”) pełnił funkcję komendanta miasta. Opuścił Lwów jako jeden z ostatnich oficerów w październiku 1945 r.

Po przybyciu na teren PRL był szefem organizacyjnym w Komendzie Eksterytorialnego Okręgu Lwowskie-

go WiN („Wolność i Niezawisłość”). Początkowo osiadł i podjął pracę we Wrocławiu, po czym w sierpniu 1947 r. przeniósł się do Zakopanego do poślubionej w tym czasie żony.

W marcu 1948 r. został aresztowany w Zakopanem i osadzony w więzieniu we Wrocławiu, gdzie 21 stycznia 1949 r. wyrokiem Wojewódzkiego Sądu Rejonowego został skazany na karę śmierci. Po ulaskawieniu przez Prezydenta PRL karę tę zamieniono mu na dożywotnie więzienie, dopiero w 1955 r. złagodzone do 8 lat — już odbytych. Przebywał w więzieniu we Wronkach, tracąc zdrowie, którego już nigdy nie odzyskał. Opuścił więzienie w marcu 1956 r. Po wznowieniu sprawy został w 1962 r. uniewinniony i zrehabilitowany.

Po leczeniu w sanatorium przeciwgruźliczym podjął pracę w hurtowni Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Hurtu Spożywczego w Zakopanem, skąd przeszedł na emeryturę w 1967 r. Stopniowo tracił resztki zdrowia; cierpiał przez wiele lat, nie skarżąc się. Jeszcze tyle lat życia zawdzięczał troskliwej opiece żony. Zmarł w szpitalu w Krakowie, zdecydowawszy się odważnie na ryzykowną przy jego stanie sił operację.

Od redakcji: Inspektorat WiN „Afryka”, obejmujący rejon Dolnego Śląska, od początku swej działalności pozostawał pod pełną kontrolą Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa we Wrocławiu. Niestety, o tej prowokacji nie wiedzieli bohaterzy konspiratorzy.

AKTUALNOŚCI

ADAM WIERCIŃSKI

Przywracanie pamięci

Tyle nazwisk przemilczanych wraca powoli do pamięci zbiorowej, tyle książek skazanych na zapomnienie; tyle krajobrazów, o których pamiętała tylko literatura powraca, tyle zagubionych gdzieś tam daleko rzeczulek i miejscowości o śmiesznych, zabawnych, jakże bliskich — choć o tak skomplikowanych i często egzotycznych źródłosłowach — i wzruszających nazwach. Wracają do pamięci zbiorowej również dwie polskie Jerozolimy, o których przez tyle lat wspominano półgębkiem tylko, jakby je można było wykreślić z naszej historii i kultury — „miłe miasto” i gród, co *semper* był *fidelis*. Wśród części społeczeństwa budzi ten powrót różnorakie emocje, Ukraińcy i Litwini też czasem krzywym okiem patrzą na rosnące zainteresowanie Polaków dawnymi duchowymi stolicami.

Czy to nie rewizjonizm — pytają, czy nie odrodzenie marzeń niegdysiejszych o Wielkiej Polsce, wielonarodowej i wielokulturowej, wielojęzycznej i wielowyznaniowej? A to przede wszystkim dług pamięci spłacany z takim opóźnieniem, powrót do źródeł, próba ogarnięcia całej przeszłości bez śmiesznych, częściej groźnych, amputacji i uproszczeń. Te sentymentalne powroty godzą

z faktami, pełnią — choć może to zabrzmieć paradoksalnie — funkcję terapeutyczną. Po cóż upolityczniać wszystko (jeden z polityków litewskich martwił się publicznie... kultem, jakim cieszy się w wielu polskich domach Matka Boska Ostrobramska, a tak!), wiadomo, że racje serca nie zawsze mogą i nie zawsze muszą być zgodne z racjami rozumu. Kiedy emocje opadną, kiedy podejrzliwość minie, tyle nazwisk twórców, tyle zażytków architektury, dzieł sztuki, tyle utrwalo-nych przez sztukę krajobrazów będzie łączyć różne narody dawnego Międzymorza.

Byłoby dziwne i dalekie od normalności, gdyby współczesnemu Polakowi architektura pięknego Lwowa, łącząca tyle wątków (bez kopuły Dominikanów, frontonu Bernardynów, wieży Korniatowskiej, sklepienia katedry łacińskiej, katedry Św. Jura, kamienic Czarnej i Królewskiej — nie może się obejść żaden uczciwy podręcznik architektury polskiej), nie była nieco bliższa od piękniejszej florenckiej czy rzymskiej... Byłoby też dziwne, gdyby opisy krajobrazów w Marii Malczewskiego i w Beniovskim Słowackiego nie wzruszały również współczesnych Ukraińców, gdyby ich zbiorowej wyobraźni nie zamieszkiwały postacie stworzone przez poetów i pisarzy polskich. Wspólnego dziedzictwa kulturalnego nie można się wyrzec bezkarnie, ograniczanie pamięci grozi wykorzenieniem, pozbawieniem kultur kilku narodów tak ważnych składników, nieodzownych dla ich nieskrępowanego rozwoju.

Ale wspomnianie przeszłości, przywracanie pamięci może być niekiedy jałowe, wspomnienia mogą budzić upiory, służyć rozpamiętywaniu tylko (nie mylić o długu pamięci, jaki winniśmy czasom i ludziom, o obowiązkach udzielania głosu umarłym...), mnożyć nieporozumienia, a nawet służyć utrwalaniu stereotypów, podsycać nienawiść. Co czynić, aby wspomnienia nie układały się w rachunki krzywd tylko, ale też, by nie prowadziły do manii samobiczowania; obie postawy są jałowe i niczego do przyszłości nie wnoszą. Nie przemilczać faktów gorzkich i strasznych i szukać tego, co łączy. A chodzi przecież o sprawy tak ważne, o przekaz wartości umożliwiających dialog między pokoleniami, dialog przez lata utrudniany przez przemilczanie tylu obszarów pamięci. Co przekazać następcom, co ocalić od zapomnienia ze świata, który nieubłagane odchodzi w przeszłość, jeszcze żywy, pełen barw, smaków i zapachów we wspomnieniach najstarszych, już baśniowy i daleki dla wnuków, jeszcze możliwy do odtworzenia przez artystów.

Wybitny pisarz, prozaik i eseista rodem z Huculszczyzny, Stanisław Vincenz, tak świetnie rozumiejący ludzkie tęsknoty do „małych ojczyzn” — równie bliscy mu byli Huculi spod Czarnohory, Ormianie z Kut i Żydzi z Kosowa, Węgrzy i Szwaabi z Siedmiogrodu, Baskowie, Walijczycy, Niemcy z Bukowiny, Rusini z drugiej strony Karpat i górale z Uri — w *Dialogach lwowskich* zastanawiał się, co przekazać we wspomnieniach o Lwowie między wojnami, aby nie było to tylko sentymentalne opłakiwanie „utraconego raju”; pisał mądrze o tym pięknym mieście i sensie wspomnień, które mogłyby odegrać ważną rolę w przyszłości nieodgadnionej. Mogłyby łączyć, tak jak to miasto łączyło przez wieki tyle tak różnych wątków w całość barwną, fascynującą, twórczą, budzącą podziw i tyle przywiązania. Oto refleksje Vincenza: „Według Dantego Bóg nie jest ograni-

czony do raju, a raj nie jest w przestrzeni, jak mówi poeta: *Non é dove. I Lwów nie jest w przestrzeni, gdzieś z tamtej strony Sanu, ani nie ogranicza się do okresu lat przedwojennych czy innych. Lwów to zamiar, obietnica i możliwość. I po co ich się wypierać? [...] Natomiast wbrew przykładowi Dantego staram się jak najmniej zatracać o piekło, tak jakby nie było dziedziny Kainów, co najwyżej tacy, których »miłość sprowadziła razem do piekła« i nawet tam ich nie opuszcza. Chciałbym tu przecie uwydatnić jako pokusę najśmielszą, choć groźną nadzieję Dantego, włożoną w usta Wirgilego: Nadzieję na miłość niszczącą, bo kiedy miłość raz wstrząsnęła światem, zdawało się, że zniszczy świat, a za tę cenę zniszczy piekło.*

Nadzieja czepia się trawy, ale któż z naszego pokolenia ma prawo wciąż pamiętać o piekle, nawet celem jego zniszczenia, i to tylko o zostawić młodemu. Raczej należy spodziewać się, że ludzie sami w opamiętaniu przed groźącym zniszczeniem zdecydują się na rozbiórkę fortecy i baszt nienawiści. I zaczną wreszcie od czegoś na pewno dobrego, co już znali i co teraz może wydać się im rajem. To może być nauką ze wspomnień o Lwowie. Odsuńmy dla tej nauki wszelkie kierunki, organizacje, obozy, które zapewne pouczają dobrze, ale nie czynią tak dobrze, i przyswojmy sobie wskazówkę z lektury gimnazjalnej. Antygona tak mówi: „Jestem z tych, co kochają, a nie z tych, co nienawidzą”. Trudno o powiedzenie prostsze, a przy tym mniej ideologiczne” (Stanisław Vincenz, *Po stronie dialogu*, t. 2, Warszawa 1983, PIW, s. 127).

Oby Autorom wspomnień o Lwowie i Ziemi Czerwieńskiej ta wskazówka zapamiętana ze szkolnej lektury pomagała zachować proporcje, służyła mądrymu ocaleniu tylu czasów i tylu przestrzeni, świata, który istnieje już tylko w ich pamięci...

LESŁAW OBERC

Spotkanie po latach

Gdy po latach wraca się do miejsc dzieciństwa, miejsca swego urodzenia, coś ściska w gardle, nogi wiotczą, w głowie się kręci ... A cóż dopiero, gdy lwowiak jedzie do swego rodzinnego miasta po latach nieobecności! Gdy powoli pociąg ruszył ze stacji kolejowej w Przemyślu i zdążył ku granicy, nie mogłem stłumić łez napływających do oczu. I oto granica. Pas zaoranej ziemi, ogrodzenie siatkowe, wartownie. Jak będzie wyglądało przywitanie z bądz co bądz majestatycznym dworcem kolejowym, z rodziną, rodzinnym domem przy ulicy Skarbkowskiej? Krewni oczekują na peronie, ubrani skromnie, w rękach ogrodowe kwiaty, a może polne. Tyle lat niewidzenia, znamy się tylko z listów i ze zdjęć. Wśród witających nie ma już głównej osoby, to jest ciotki, która zmarła parę lat temu. Pozostała tutaj sama, aby oczekiwać syna, który został wywieziony na Sybir. Zresztą jego również nie ma. Zmarł przedwcześnie, zaraz po śmierci swojej mamy. Stracone zdrowie na dalekim wschodzie nie pozwoliło dożyć sędziwej starości. Witają mnie jego żona, dzieci i wnuki. Uściski, łyzy, łyzy i uściski.

Wchodzimy do głównego holu dworca. Dużo ludzi siedzących gdzie się da na bagażach. Jakoś tak brudno i niechlujnie. Przepychamy się ku wyjściu. Przed dworcem dużo różnych samochodów. Stoją taksówki, ale jazda tylko za ekstra opłatą. Na szczęście mamy dobry dojazd tramwajem. Widzę! Stoł ze swoimi strzelistymi wieżami kościół Św. Elżbiety. Wieże niedawno pokryte nową blachą. Brak jednego krzyża. Okna powybijane. Ważne, że jeszcze stoł.

Mieszkanie w nowej dzielnicy robi wrażenie dużego i przestronnego. Czysto wysprzątane. Na ścianach kilimy i dużo świętych obrazów, co rekompensuje całkowity ich brak do niedawna poza mieszkaniem. Mówią, że teraz gwałtownie się zmienia, i nawet w państwowych sklepach można kupić dewocjonalia. Późna kolacja. Polska „wyborowa” i ruska „pszeniczna”, a później niezły bimber. Z alkoholem nienajlepiej, bo w sklepach brak, a cukier na kartki. Później wspólne śpiewy przy stole. Bał u ciotki Bandziuchowej przeplatał się z ukraińskimi dumkami. Wspomnienia ...

Po śniadaniu jedziemy na ulicę Batorego do biura meldunkowego. Mieści się na parterze w byłym sklepie. Przed biurem tłok i ścisk — taki tu już obyczaj. Ludzie tłoczą się przed zamkniętymi drzwiami, na chodniku. „Urząd” równocześnie „załatwia” zaproszenia oraz paszporty. Pokazany zza pleców polski paszport toruje drogę do kraty, gdzie zostawiam zaproszenie do zameldowania. Mam się zgłosić za dwa dni po odbiór. Nareszcie mogę wyruszyć na pierwsze spotkanie z miastem. Po kilkunastu metrach boczną uliczką A. hr. Fredry wychodzę na Akademicką, tuż obok byłej kawiarni „Szkockiej”, z marmurowymi stolikami, przy których sam Banach za piwko rozwiązywał skomplikowane łamigłówki matematyczne. Naprzeciwko „Szkockiej”, gdzie hrabia A. Fredro siedział na fotelu, podobizna Tarasa Szewczenki utkana z kwiatów. Patrzą na prawo na Plac Mariacki, główny salon Lwowa. Ruch na ulicy olbrzymi, chodnik zatłoczony, brudny, trudno przejść. Wtapiam się w tłum. W co drugim sklepie „remont” lub „piereobłok” — główna przyczyna to całkowity brak towarów. Mijam cukiernię Zaleskiego, gdzie tam Blikle do marcepanów ze Lwowa! Teraz smutna wystawa zastawiona herbatnikami w szarżółtych opakowaniach. U wylotu ulicy mijam hotel George’a — obecnie „Inturist”. Przed wejściem dużo „koników”. Patrzą na plac, który każdemu lwowiakowi jest tak bardzo drogi. Adam Mickiewicz stoi jak ze spiżu. Obok zieleni zadbana, drzewka przyszytych. Wiązanki białoczerwonych goździków od wycieczek z Polski. Ja przywożę tylko znicze na groby bliskich i „Orląt”.

Przetaczająca się masa ludzka zmusza mnie do przejścia na środek Wałów Hetmańskich, tuż obok fontanny, gdzie stała figura Matki Boskiej z wianuszkiem światła. Teraz tylko woda, i o dziwo, tryska. Przed oczami rozciąga się główny skwer Lwowa w blasku lipcowego słońca. W dali widzę majestatyczną sylwetę Teatru Wielkiego. Idę rozglądając się wokoło, szukając zarazem zmian. Jest ich tutaj mało. Prawie tak jak było. Tylko że wszędzie pełno ludzi i tłok. Dochodzę do miejsca, gdzie stał dumnie z podniesioną buławą Sobieski na koniu. Teraz w tym miejscu zbiegowisko ludzi. Wkoło flagi ukraińskie o barwach niebiesko-żółtych, ale również banderowskie czerwono-czarne. Ciągłe ktoś głośno wykrzykuje lub wygłasza przemówienia. Sprzedawana jest prasa powielaczowa, emblematy z trójkębami. Skąd to znam? Mijam zbiegowisko i idę dalej w stronę Teatru Wielkiego. Przed teatrem na cokole z czerwonego marmuru pomnik Lenina — wodza rewolucji*. Cóż on myśli o wygłaszanych nieopodal przemówieniach, w końcu również rewolucyjnych... Sam teatr prezentuje się wspaniale. Jest taki, jak dawniej. Niedawno przeprowadzono tu gruntowny remont i jako jeden z nielicznych obiektów śródmiejskich jest w dobrym stanie. Idę na spektakl. Podziwiam w foyer odnowione sceny z polskich dramatów: *Balladyny*, *Krakowiaków i Górali*, *Halki*, *Zemsty* itp. Na klatce schodowej alegoryczne freski Tadeusza Popiela, Kotowskiego, Harasimowicza, Rybkowskiego, Rozwadowskiego i Krycińskiego. Teatr, projektu Zygmunta Gorgolewskiego, zbudowany w latach 1897—1908, z rzeźbami na fasadach Antoniego Popiela i brązami Wojtowicza świeci pełnym blaskiem polskości. I oto jest wylot rodzinnej ulicy Skarbkowskiej. Teatr Skarbka i największa niegdyś kamienica czynszowa stoją. Idę w stronę swojej kamienicy. Mijam cerkiew Przemienienia, również z zielonymi kopułami, i już widzę okna naszego mieszkania. Łzy napływają do oczu. Mogę tylko popatrzeć, ponieważ z dawnych znajomych już nikogo nie ma.

Następnie idę do zaułka ormiańskiego. Przede mną dawny klasztor Benedyktynów obrządku ormiańskiego. Zgromadzenie sięga co najmniej XVI wieku. Po II woj-

nie światowej Benedyktynki osiadły w klasztorze w Wołowie na Dolnym Śląsku. Zaułek ormiański i dziedziniec przykatedralny z kolumną Św. Tomasza to plac moich dzieciennych zabaw. Obecnie wszystko w ruinie i zaniedbanie. Świątynia ormiańska, wzniesiona w latach 1356—1363 przez budowniczego Dorchę w stylu kolonii ormiańskich na Krymie, obecnie przedstawia rozpaczliwy widok. Sypiące się tynki, wszystko pozamykane, okna powybijane, ogólne zaniedbanie. Jedyny jasny obraz to widok kilku studentów malujących ten urokliwy zakątek. Dotykam oczami każdy szczegół. Za kratą widzę zdewastowaną gotycką rzeźbę na ścianie. Tutaj przez kratę w murze Niemcy rozstrzelali 10 zakładników za zabicie tajniaka przez AK. W tym miejscu nie ma żadnej tablicy pamiątkowej. Przyglądam się ulicy Ormiańskiej pełnej zabytkowych kamienic, i idę ku ulicy Krakowskiej, potem dalej na Rynek. Przed ratuszem stoją lwy, ale już nie te, co dawniej. Przyglądam się kamienicom. Stoi czarna królewska. Stoją cztery studnie. Stan techniczny obiektów rozpaczliwie zły. Wchodzę do kilku bram. Ogólny brud, smród i zaniedbanie. Czy ktokolwiek jeszcze potrafi te zabytki uratować?

Spieszę w stronę kościoła Dominikanów — mojej parafii. Ochrzczono mnie tutaj. Pamiętam swoją Pierwszą Komunię Świętą. Wydaje się, że to tak niedawno?! Teraz mieści się tu muzeum religioznawstwa, które można zwiedzić za 20 kopiejek.

УРСР КУПОН НА 1 крб. грудень	Волжский горпищеторг МЯСОПРОДУКТЫ ОКТАБРЬ 1990
ЗАПРОШЕННЯ III кв. 1989 мнючи засоби	ЗАПРОШЕННЯ III кв. 1989 мнго господарське
A ЗАПРОШЕННЯ III кв. 1989 мнго туалетне	B

Wzory kuponów zaopatrzeniowych na Ukrainie

Następnie kroki kieruję w stronę katedry łacińskiej. Do niedawna na mszę świętą przychodzili ludzie starsi, obecnie widać dużo dzieci i młodzieży. Wnętrze katedry wspaniałe i przebogate. Wiedział król Jan Kazimierz, gdzie składać ślubowanie Matce Boskiej! Obok kaplica Boimów. Dzisiaj, zamknięta. Sąsiednie zabytkowe kamieniczki właśnie „odnawiane” przez dwóch robotników przez smarowanie tynków mleczkiem cementowym brzożowymi miotłami. Idę dalej w stronę Bernardynów. Słyszę błaszany dźwięk zegara. Kościół zamknięty, mieści się tu jakiś magazyn. Niegdyś wspaniałe barokowe wnętrze. Jak wygląda obecnie? Wracam zmęczony, pełny

wrażen na ulicę Akademicką, siadam na ławce i odpoczywam. Obok mnie przysiadł starszy mężczyzna. Widzę, że mnie obserwuje. Za chwilę pyta się po ukraińsku, która godzina? Odpowiadam po polsku. Nawiązuje się rozmowa. Starszy mężczyzna, emeryt, ciekawy jest wszystkiego. Opowiadam o kraju, dzielę się swoimi spostrzeżeniami. Słucha i w końcu mówi płynną polszczyzną z lwowskim śpiewnym akcentem. Proszę ja Pana, tutaj przed wojną na Akademickiej to mieszkali sami adwokaci, a teraz sam Pan widzi — Azja! Jakie trafne określenie!

Po dobrze przespanej nocy pod lwowskim niebem wyruszam znów do miasta. Pierwsze kroki kieruję tym razem do Parku Stryjskiego. Pomnik Kilińskiego stoi, sam Kiliński trzyma złamane drzewce. Główna część parku niespodziewanie dobrze utrzymana. Alejki czyste, nowe krawężniki, po stawie płyną łabędzie. Piękna słoneczna pogoda. Wspinam się pod górę, na teren targów wschodnich. Tutaj już gorzej, większe zaniedbanie. Po byłym pawilonie wystawienniczym, zbudowanym na kształt podkowy, pozostał już tylko ślad — niedawno spłonął. Budynek Panoramy Racławickiej stoi, dodatkowo obudowany, mieści się tu Instytut Kultury Fizycznej.

Podśpiewując pod nosem *W Stryjskim Parku na festynie* wracam do miasta. Teraz główny cel — cmentarz Łyczakowski. Spokój i cisza. Pierwsze kroki kieruję w stronę spoczynku małych bohaterów. Mimo włożonej pracy stan cmentarza opłakany. Z dawnej kolumnady pozostała tylko zniszczona część środkowa. Postawiony zielony płot odgradza katakumby, które stanowią fundament nadbudowy obok obecnego budynku. Dalej widok zniszczonej kaplicy. Za tym ogrodzeniem jeden wielki „bajzel”.

Odkopane groby stanowią tylko niewielką środkową część cmentarza. Tuż przed łukiem ustawiono niedawno nowy grób — pomnik symbolizujący pamięć o bohaterach wojny lat 1918—1920. Wiązanki kwiatów i znicze. Zapalam swój znicz i odmawiam modlitwę. Ogólne wrażenie przygnębiające. Myślę, że obecny stan cmentarza oddaje obraz „przyjacielskich” stosunków polsko-ukraińskich. To, co zobaczyłem, utwierdza mnie w przekonaniu, że prawdziwe przymierze naszych narodów jest jeszcze dalekie. Mimo wszystko mam nadzieję, że jeszcze zdąży tutaj powrócić i że ujrzę to miejsce takim, jakim było dawniej! Teraz idę ku grobom Szajnochy, Grottera, Goszczyńskiego, Zapolskiej, Konopnickiej i innych. Zapalam znicze na miejscu spoczynku powstańców styczniowych z roku 1863/4. Patrzę na cmentarz trochę oczami Stanisława Niciei, który doskonale nam go w swej książce przybliżył.

Na trzeci dzień postanawiam odwiedzić niektóre restauracje, w relacjach rodziców i znajomych niegdyś bardzo ekskluzywne. Zaczynam oczywiście od „George’a” — obecnie hotelu „Inturist”. Pełne rozczerowanie, tak od strony wystroju, jadłospisu, jak i obsługi. Zastanawiam się, co pozostało z tych czasów, kiedy moja teściowa zatrzymywała się tutaj, jadąc na Krym do „wód”. Przy placu Mariackim na pierwszym piętrze była kawiarnia „De la Paix” dawna „Avenue”, gdzie schodzili się kupcy i adwokaci. Obecnie jest tu restauracja „Moskwa”. Zajmuje całe piętro, we wnętrzu resztki dawnej świetności. Tutaj podobnie jak u „George’a” — szkoda nawet opisywać. Niedaleko był hotel „Europejski”. Tu jeszcze gorzej — mały bar samoobsługowy, duszno i strasznie, byle jak. Następnego dnia byłem w Rynku w restauracji „Pod Lwem”. Wystrój ładny, panuje tu porządek. Niestety, jadłospis podobny, i drogo. Wieczorem młodzi zaprosili mnie do „restarana” z muzyką w nowym osiedlu. Tutaj również ten sam styl i jadłospis. Podjadłszy ukraińskiego barszczu, wypiliśmy nieco ukra-

ińskiej wódki (niezła), wróciłem do domu pospać przed jutrzejszą dalszą wyprawą.

Wysoki Zamek — następne miejsce moich dzieciennych zabaw. Pusto i pięknie wśród zieleni. Wzgórze Zamkowe i wieńczący go kopiec Unii Lubelskiej dominuje nad całym Lwowem. Z zamku, który zbudował Kazimierz Wielki, pozostał jedynie strzęp muru. Kopiec Unii Lubelskiej, usypany w 1869 r., trzyma się niezłe. Ziemię przywożono ze wszystkich stron Polski, a nawet z grobów Mickiewicza, Słowackiego i Kniaziewicza. Sam wierzchołek kopca jest uporządkowany. Piękny widok rozciąga się na całe miasto. Śródmieście z licznymi wieżami i kopułami w lekkiej mgiełce. Rozpoznaję znajome ulice, domy, kościoły ... Całe miasto otoczone jest nowymi dzielnicami. Nachodzi mnie myśl, że uczyniono wielką krzywdę temu miastu. Każdy organizm miejski ma swoją optymalną pojemność świadczenia usług mieszkańcom. Śródmieście zadeptywane jest przez tych mieszkańców z obrzeży miasta. Śródmieście Lwowa, brudne i przeludnione, przypomina jeden wielki wschodni bazar. Potrzebna byłaby decyzja o natychmiastowym wstrzymaniu dalszej rozbudowy miasta i przeznaczeniu środków na ratowanie śródmieścia. Wracam w kierunku Czarnych Wałów. Idę obok klasztornej muru. Jest taki sam, jak przed wojną, może tylko nieco się postarzał. Dochodzę do wniosku, że tylko lwowska zieleń daje mi pełne ukojenie.

Na małym cmentarzyku nieopodal Lwowa pochowana jest rodzina od strony mamy. Jedziemy samochodem wśród pól bocznymi tłuczniowo-gruntowymi drogami pełnymi niespodzianek i wyboi. Wkoło pola obsiane zbożem, kukurydzą, burakami, ale porośnięte chwastami. Dojeżdżamy na cmentarzyk zarośnięty wysoką trawą i chwastami. Opuszczony, ale wspaniała cisza wokół. Zapalamy znicze, modlitwa, wspomnienia, znowu chwila zadumy i wracamy. Idziemy polną drogą. Mijamy znany kurhan wzniesiony w 1945 r. obok polnej kapliczki. Leżą tutaj prochy Polaków i Ukraińców zamordowanych przez banderowców. Leży tutaj mój ciocięcy brat, któremu przestrzelono nogi i żywcem spalono. Był tylko 5 lat starszy ode mnie. Zginął, mając niespełna czternaście lat. Teraz wiatr i zapach pól czuwa nad jego prochami.

Wracając, wstępujemy po drodze do właśnie nowo kupionego domu z działką ogrodową we wsi Sucha Wola. Dom ma spełniać rolę „dacz”, chociaż już przewidują, że jeden z synów tutaj zamieszka w przyszłości z braku mieszkania. Obejście kupione od byłego właściciela, który po wieloletnich staraniach wyjechał do Kanady (jednak coś się zmienia).

Wewnątrz domu pusto. Ściany nieco zawilgocone. Centralne pomieszczenie to kuchnia i stary piec. Widać, że niedawno jeszcze był używany. Byli właściciele pozostawili połamaną taboret, starą ładną złożoną ramę z nędzną reprodukcją oraz dwie makatki na kuchennej ścianie przy piecu. Na jednej wyszyto kolorową nicią napis w języku polskim „Gość w dom, Bóg w dom”, a na drugiej — „Gdy gospodarz z gospodynią gotuje, to gościom bardzo smakuje”. Mija 50 lat, a w chatkach widać Polskę! Po krótkim odpoczynku wracamy do Lwowa.

Zbliża się koniec urlopu, nadchodzi czas pożegnania i odjazdu. Nie opisuję „europejskiego” poziomu sprzedaży miejscówek na kolei, których nie jesteśmy w stanie „załatwić”, postanawiam wracać samolotem do Warszawy. Ostatni spacer po ukochanym Lwowie. Jedyne miłe chwile to Msza Święta w katedrze, spektakl w Teatrze Wielkim, spacer na Wysokim Zamku i w Parku Stryjskim, spokój na cmentarzu Łyczakowskim oraz w końcu stąpanie po tak drogich mi miejscach.

Ogólny obraz, który pozostał w mojej pamięci, to brud, bałagan, wyboje uliczne, olbrzymie łok, niechlujne skle-

py i bazy, zdewastowane zabytki i myślę, że brak kultury tak na co dzień. Ogromnie żał mi mego ukochanego miasta, dla którego nie widzę ratunku.

Odwożę mnie na lotnisko. Skniłów, obecnie dzielnica Lwowa, do której można dojechać trolejbusem. Łudziłem się, że zobaczę czyste, ładne, przestronne hale odpraw. Jaki byłem naiwny. Tutaj chyba większy tłok i „bazar” niż na dworcu kolejowym.

Po starcie, gdy samolot wzbił się w powietrze, przez okienko zobaczyłem w oddali Lwów z górującymi nad nim wieżami kościoła Św. Elżbiety, który stoi jak niegdyś, ale jak strasznie okaleczony.

Jechałem z gorącym sercem do mego ukochanego rodzinnego miasta, z nadzieją że teraz w ramach „glasnosti” nastąpi odrodzenie stosunków polsko-ukraińskich. Wyjechałem ze Lwowa mając dziesięć lat, wychowałem się we Wrocławiu, który również jest moim miastem na dobre i złe. Po zobaczeniu i obserwacji życia obecnego Lwowa, po przeprowadzeniu licznych rozmów dochodzę do wniosku, że nasza przyszłość, przyszłość nas wysiedlonych lwowiaków musi być związana z Europą, ale tą ze strony zachodniej. Granica Europy kończy się na Bugu, a nie na Uralu.

Paweł Jasienica w swoich *Pamiętnikach* przytacza słowa Stanisława Mackiewicza: „Urodziłem się jako Polak, szlachcic litewski i miłości Wilna nikt nie wyrwie z mego serca. Ale jest to moja prywatna, niepolityczna sprawa, sentyment starego człowieka”. Paweł Jasienica uważa, że odebranie obecnie Litwinom Wilna, zaś Ukraincom Lwowa byłoby narodowym samobójstwem. Czytając kiedyś *Pamiętniki* Jasienicy, nie podzielałem tego poglądu. Obecnie, po pobycie we Lwowie, radykalnie zmieniłem zdanie, chociaż serce pozostało tam. Powroty raczej są już niemożliwe, i nie powinniśmy o to zabiegać. Jesteśmy częścią Europy, i to tej z prawdziwą kulturą europejską. Musimy dołożyć usilnych wspólnych starań, abyśmy weszli do Europy bez granicy tej na zachodzie, abyśmy się stali częścią tej prawdziwej Europy. Azja niech pozostanie tam, gdzie jest. Teraz tylko w marzeniach i snach wracać będę do czasów, które dawno już minęły i już nie wrócą, i chociaż coś mnie wewnątrz ściska i rozczula, wzrok swój kieruję w stronę przyszłości — naszej przyszłości.

* Od Redakcji. 14 września 1990 r. pomnik został zdemontowany.

JERZY JANICKI

Dziwne dzieje dwukrotnie urodzonego pomnika

W 1991 roku w lipcu upływie dokładnie pięćdziesiąta rocznica męczeńskiej śmierci profesorów wyższych uczelni lwowskich, zamordowanych o świcie w nocy z 3 na 4 lipca 1941 r. na stokach Wzgórz Wuleckich. Ta ludobójcza zbrodnia, druga co do rozmiarów po eksterminacyjnym akcie gwałtu dokonany na profesorach krakowskich, dotąd nie doczekała się swego epilogu: właściwi sprawcy nigdy nie byli sądzeni, a wielu z nich — kto wie czy nie do dziś — zażywa wolności.

Lecz jest i drugi aspekt tego dramatu sprzed pół wieku — pamięć. Szczególnie dziś, kiedy już nam nic nie przeszkadza wydobywać na światło dnia mroczne obrazy przeszłości, kiedy pomnikami i obeliskami upamiętniamy już nie bitwy, ale potyczki nawet, kiedy wystawiamy kute w kamieniu świadectwa zgonów niewinnie rozstrzelanych, powieszonych, zagłodzonych w łagrach i kacetach, kiedy więc tak dorodnie i obficie wyrasta ten smutny las pomników, wciąż brak w tym gąszczu drzewa lwowskiego.

Pomnik pomordowanych profesorów lwowskich ma już swe dziesięcioletnie dzieje. Gdyby je skrupulatnie prześledzić, data po dacie, rychło pojęlibyśmy, że wplecione są one jak pojedynczy wątek tkackiej osnowy w ogólną kanwę zmieniających się co chwila naszych stosunków ze wschodnim sąsiadem.

Dane mi było otrzeć się o dzieje tego pomnika osobiście, i to kilkakrotnie. Przed dziesięć laty, dokładnie w lipcu 1980 r., zdarzyło mi się być gościem lwowskiej telewizji. Zbierałem wówczas dokumentację do lwowskiego okresu Gabrieli Zapolskiej, z czego powstać miał serial pełen romansów, sensacji i nieustającego pasma sukcesów autorki *Moralności pani Dulskiej*. Dziś nie ukrywam, że był to tylko pretekst umożliwiający kręcenie zdjęć we Lwowie i pokazanie miasta, do którego w tamtych latach wcale tak łatwo jak dziś jeszcze się nie jeździło.

Po raz pierwszy w życiu wdrapałem się więc wówczas na Wysoki Zamek nie w celach turystycznych, lecz zawodowych: szef lwowskiego ośrodka TV tam właśnie urzędował w świeżo wzniesionych budynkach tuż przy dolnej platformie widokowej. Dogadaliśmy się szybko, acz dialog toczył się w dwóch jednocześnie językach: Borys Markianowicz Szajdeckij mówił po ukraińsku, ja po polsku, ale cóż to za przeszkoda dla ludzi, obu bądź co bądź ze Lwowa. Gospodarz, rodowity zresztą lwowiak, był wówczas nie tylko szefem telewizji, lecz także członkiem komitetu budowy pomnika pomordowanych w lipcu 41 profesorów lwowskich.

— Jak to? — osłupiałem — to ma być taki pomnik? Okazało się, że już niemal jest. Projekt powierzono znanemu miejscowemu rzeźbiarzowi Emanuelowi Myśko. Zręby pomnika stały już pośród wądołów wuleckiego jaru, w miejscu kaźni uczonych. Po wizji lokalnej powstał pomysł nakręcenia w koprodukcji dokumentalnego filmu poświęconego profesorom.

Nie pierwszy to film i nie pierwszy pomnik, które utknęły w stadium samego pomysłu. Był jednak rok 1980, a ściśle sierpień 1980, kiedy wróciłem do Warszawy. W naszej telewizji nikt już nie miał głowy do takich tematów: na ekran pchali się nowi bohaterowie, pośpiesznie schodziła z afisza farsa zwana dekadą sukcesu i każdy dzień przynosił zmiany w obsadzie nowego repertuaru. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że skazujący wyrok na film objął również we Lwowie swym zasięgiem i pomnik. Strach przed infekcją solidarnościowych ruchów był tak ogromny, że embargiem obłożono wówczas wszystko, co polskie: zniesiono zaproszenia nawet rodzinne, zamknięto polski Teatr Ludowy we Lwowie, buldożery usunęły zręby pomnika z wuleckiej skarpy.

Dopiero po siedmiu latach powróciłem do projektu filmu. Nawet chętnie wyrażono zgodę, ale władze miejscowe wydały się zaskoczone moim naiwnym pytaniem, co się stało ze zrębami pomnika. Jakiego pomnika? No przecież sam go oglądałem. Chyba wam się coś pomyliło, żadnego pomnika na wzgórzach nie było. Jak to nie było, kiedy był? Może pomyliliście z jakimś innym

pomnikiem albo z jakimś innym miastem? No, myślę sobie, znamy takie rozmowy na pamięć, nie ruszamy z miejsca, jeżeli będą się upierał przy swoim. Przyjmujemy więc punkt wyjścia, że dopiero teraz powstały realne możliwości upamiętnienia miejsca zbrodni. Już wprawdzie nie pomnikiem, lecz obeliskiem, inaczej mówiąc „znakiem pamięci”, jak to zostało odnotowane w dokumencie, który mi okazał ówczesny nasz konsul Włodzimierz Woskowski. Obelisk usytuowany miał być nie w dokładnym miejscu egzekucji uczonych, lecz na placu pośród świeżo postawionych bloków, u wylotu ul. Abrahamowiczów, tak by widoczny był i od strony gmachu II Domu Techników, i dawnej bursy Abrahamowiczów, która dziś pełni rolę szpitala przeciwegzultacyjnego.



Nie dopytywałem wówczas o szczegóły tego „znaku pamięci”, zajęty przygotowaniami do kręcenia filmu. A z tym też były kłopoty niemałe. Przydzielony konsultant historyczny, starszy pan o miłej powierzchowności, lecz jednocześnie o zastanawiającej biografii (we Lwowie zjawił się w 1945 r. w roli prokuratora wojskowego), był zachwycony wprost scenariuszem. Z jedną atoli uwagą, której wygłoszenia domagał się w obecności polskiego konsula. Uwaga ta brzmiała mniej więcej tak: cały czas w filmie mówi się o polskich uczonych, a przecież to nie polscy uczeni, a radzieccy, ponieważ co do jednego w 1939 r. przyjęli radzieckie obywatelstwo (!). Mało tego — do 1940 roku wykładali wszak na lwowskich, zatem radzieckich uczelniach. Konkluzją konsultanta była więc propozycja, by przyjąć, że to nauczanie radzieckiej hitlerowskiej wyrzadzili krzywdę, mordując uczonych radzieckich polskiego pochodzenia.

W odpowiedzi wygłosiłem wówczas coś, co zwykliśmy nazywać „odповідzią wymijającą” i dalsze rozmowy zostały przerwane.

Film upadł. Można się było domyślać, że i budowie przyszłego obelisku przyświecać miała podobna intencja i interpretacja. Dopiero po publicznym ujawnieniu przeze mnie w programie I Polskiego Radia tych „porad” konsultacyjnych rozmowy o filmie zostały wznowione, konsultanta uznano za idiotę i w pół roku później można już było film zrobić, co też się stało, i już w 1988 r. film został wyemitowany pt. 4 lipca o świcie we Lwowie.

Jednocześnie w tym czasie nastąpiły zmiany dotyczące „znaku pamięci”, który ponownie awansował do stopnia pomnika. I tym razem projekt zamówiono u tego samego, co poprzednio autora — Emanuela Myśki. Lecz potrzeba było jeszcze prawie dalszych dwóch lat, w czasie których na Ukrainie powstał słynny „Ruch”, zmieniły się polityczne struktury władzy, i to dopiero pozwoliło artyście wyznać w szczerzej rozmowie, że projekt, nad którym obecnie pracuje, jest już projektem drugim, całkowicie różnym od tego, który realizowano przed dziesięciu laty. W ten sposób artysta ostatecznie wybawił mnie z kompleksów o omamach, które we mnie wmaiwano. Na moją prośbę podarował mi zdjęcia obu projektów, które dziś „Semper Fidelis” publikuje po raz pierwszy.

Emanuel Myśko jest rzeźbiarzem bardzo wziętym. Od wielu lat piastuje stanowisko rektora Instytutu Sztuk Pięknych, kieruje pracami Ukraińskiego Funduszu Kultu-



ry we Lwowie i przewodniczy ukraińskiej komisji w rozmowach ze stroną polską w sprawie renowacji cmentarza Łyczakowskiego. Rozmawia swobodnie po polsku; nic dziwnego, bo rodem jest z Ustrzyk Dolnych, skąd jeszcze jako chłopiec starał się wyjechać na studia do szkoły, której dziś jest rektorem. Nawiasem mówiąc, jest to dawny gmach Szkoły Przemysłowej u końca Snopkowskiej, gdzie w czasie okupacji mieściło się Technikum Rzemiosła Artystycznego, którego młody Myśko był uczniem.

Jego Magnificencja pan Rektor wypisz-wymaluj przypomina Szymona Kobylińskiego, tak samo zwalisty, tak samo brodaty, tak samo jowialny, przez co rozmowy z nim wspominam naprawdę miło, a zwłaszcza od czasu, kiedy wyznał, że raz już nad tym samym pomnikiem pracował.

Kiedy mi przywiózł obie te fotografie do Warszawy, odetchnąłem z ulgą. Nie dlatego, że prawdzie stało się zadość, ale że zadość stało się sztuce. Pierwszy projekt robiony był w manierze obowiązującej w ojczyźnie artysty: pełny socrealizm. Widać to zresztą na zdjęciu: naturalistycznie odtworzone postaci profesorów zastygłe w geście bohaterstwa, męki i dumy. I chociaż, jak mi wyznał Myśko, pozwali mu jego koledzy, to jednak władze dopatrzyły się w jednym z nich podobieństwa do prof. Bartla, co było nie do zniesienia, bo Bartel utożsamiał

im się z „faszystowskim” przedwojennym rządem, któremu przewodził. Według Myśli ten właśnie взгляд miał być powodem do rozebrania pomnika w 1980 roku. Mieszczą się w tym aż trzy absurdy naraz: 1) rząd Bartla żadną miarą nie był faszystowski, 2) pozował do postaci jakiś Bogu ducha winny kolega artysty, 3) prof. Bartel wcale nie został rozstrzelany w tej grupie, lecz siedem dni później.

Spójrzmy teraz na makietę obecną. Wyobraża ona bramę czy też tunel, którego wnętrze tonie w mroku, a tylko daleki prześwit dnia pozwala wyinterpretować myśl artysty, że nie ma takiego mroku śmierci, którego nie rozjaśniałaby nadzieja jutra. Jest tu i element lwowskiego folkloru: te kocie łby mianowicie, te nierówne

kostki słynnego lwowskiego bruku, które były ostatnią drogą uczonych. Tak starałem się odczytać myśl pomnika, autor nie zaprzeczał*.

Taki więc będzie ten pomnik. Z kamienia sprowadzonego aż z Trembowli. Ale czy będzie? Czy będzie na czas? Czy 4 lipca 1991 roku, w pięćdziesiąt lat po okrutnej dacie, będziemy mogli nareszcie zdjąć czapki, by pokłonić się cieniem wielkich polskich uczonych? Bo okazuje się, że kiedy już po tych wszystkich peregrynacjach wszelkie przeszkody polityczne zostały pokonane, wyrosły nowe. Materialne. Brak pieniędzy. Autor jest optymistą i wierzy, że i tę przeszkodę pokona.

Wierzmy i my.

POZNAJMY SIĘ

Kazimierz Seroiszka

Urodził się 26 XI 1901 r. we Lwowie. Mieszkał przy ul. Bartosza Głowackiego. Po kryzysie przysięgowym w Legionach jako nieletni ochotnik musiał wrócić do nauki w Kaiserliche und Königliche Zweite Realschule — Druga Szkoła Realna przy ul. Szumlańskich (odpowiednik dzisiejszego liceum ogólnokształcącego o profilu matematyczno-fizycznym).

W dniu 31 X 1918 r. wspólnie z równie jak on zaniepokojonymi kolegami obserwowali przemarsz przez miasto w pełni uzbrojonych oddziałów ukraińskich z austriackiej armii. W godzinach popołudniowych uczestniczyli w naradzie, której przewodniczyli kapitanowie Tatar-Trzeźniowski i Boruta-Spiechowicz. Narada, która miała charakter odprawy bojowej, odbyła się gdzieś w kolejarskich domkach. Wymienieni oficerowie zorganizowali pierwszą grupę obrońców, która rankiem 1 XI udała się do Szkoły Sienkiewicza. Tu odparli atak wojsk ukraińskich. Pan Kazimierz w składzie załogi pierwszego odcinka walczył do 11 XI, do czasu, gdy został przydzielony do załogi pociągu pancernego PP-3. Pociąg ten był wykorzystywany do wypadów po żywność dla głodującej ludności oblężonego miasta. Załoga PP-3 liczyła 280 żołnierzy uzbrojonych w 36 ciężkich karabinów maszynowych.

Z tego okresu Kazimierz Seroiszka pamięta bardzo znamieny epizod, który rozegrał się pod Basiówką. W tym czasie był już kapralem i dowodził plutonem rekwiizycji żywności. W drodze do Obroczyzna natknęli się na pododdział Ukraińców. Podczas strzelaniny K. Seroiszka został ranny i pozostał na polu walki. Odnalazł

go dowódca pododdziału ukraińskiego — kolega ze szkoły, który nazywał się Strokaty. W czasie rozmowy obaj wymienili cel swojej walki: „ja za Ukrainę”, powiedział Strokaty, „ja za Polskę”, powiedział K. Seroiszka. Strokaty obiecał ewakuację rannego. Szybciej jednak powrócili do niego koledzy z załogi PP-3.

W 1920 r. ponownie znalazł się w szeregach WP. Po demobilizacji K. Seroiszka zdał maturę i podjął studia na Wydziale Leśnym Politechniki Lwowskiej. Nie pociągała go jednak niezbyt dobrze płatna praca gdzieś na Białostocczyźnie. Podjął pracę na pocztę; szybko zrobił karierę zawodową. Był kierownikiem międzynarodowego ambulansu pocztowego, następnie naczelnikiem poczty w Borszczowie. Po wybuchu wojny przez Rumunię, Francję trafił do Anglii, gdzie dosłużył się stopnia majora i zajmował stanowisko głównego kwatermistrza polskich obozów wojskowych. Po wojnie wrócił do Polski. Przed wyjazdem z Anglii znajomy porucznik zaopatrzył K. Seroiszkę w fałszywą legitymację przedwojennej PPS. Legitymacja uchroniła przed prześladowaniami, chociaż zawiodła w szeregi PZPR. Pracował na pocztę, był kierownikiem powiatowego urzędu pocztowego, ale często pozwalał sobie na „mówienie prawdy w oczy”. W tej sytuacji mógł awansować, ale tylko wstecz. Gdy mowa o sprawach polskich, u Pana Kazimierza ujawnia się wielki temperament i miłość do Ojczyzny, której walką i pracą służył przez całe swoje długie życie. W październiku 1990 r. otrzymał awans na stopień podpułkownika rezerwy oraz Krzyż za Udział w Wojnie 1918—1921.

Opracował Krzysztof Bulzacki

Adw. Tadeusz Zurowski
ul. Fredry 19
80-447 Gdańsk

Gdańsk, 1990.10.29

Zachęcony umieszczonym w nr 4—5 „Semper Fidelis” na s. 53 apelem o przesyłaniu wiadomości o wymienionych w notatce z „Gazety Lwowskiej” z lutego 1942 r. osobach aresztowanych w Drohobyczu, przesyłam nieco szczegółów dotyczących wymienionego w niej mojego teścia, Jana Furdzyna. Była to postać godna uwagi, bardzo charakterystyczna dla tak rozmaitej narodowościowo społeczno-kresowej.

Jan Furdzyn urodził się 7 IV 1875 r. w Drohobyczu w rodzinie Grzegorza, prawosławnego Rusina, i Węgierki Zuzanny Kovacs wyznania rzymskokatolickiego. Prawdopodobnie w wyniku kompromisu rodziców został

ochrzczony w parafialnej cerkwi unickiej. Przed zawarciem z Polką Ludwiką Wojtowicz związku małżeńskiego zmienił obrządek na rzymskokatolicki, „przenosząc” — jak mówiono na kresach — „metrykę z cerkwi do kościoła”.

Za czasów austriackich służył w policji, gdzie doszedł do stanowiska komendanta. Będąc w tym okresie silnie związany z Austrią, coraz bardziej się polonizował. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości początkowo pracował w policji, a potem, nie chcąc zgodzić się na przeniesienie do Przemyśla, wystąpił z niej i został w drohobyckim magistracie naczelnikiem komisariatu miejskiego.

Teść mój, nie mając genetycznie ani kropli polskiej krwi, do tego stopnia się spolonizował, że w czasie radzieckiej okupacji wstąpił do ZZW. W maju 1940 r. zo-

stał aresztowany. Przeszedł przez więzienie w Drohobyczu, Kijowie i Woroneżu. Bardzo niechętnie opowiadał o swojej więziennej gehennie, która do końca życia pozostawiła u niego nienawiść do wszystkiego, co radzieckie. A miał do niej uzasadnione podstawy. Wielokrotnie zamykano go w izolacie o wymiarach $1,5 \times 1$ m². Nie miał zezwolenia na otrzymywanie paczek ani korespondencji. Przed ewakuacją więźniów z Kijowa władze wezwwały chorych więźniów do zgłoszenia się, obiecując im, że będą przewożeni, a reszta pójdzie piechotą. Teść mój, ostrzeżony przez więźniów kryminalnych, nie przyznał się do przechodzonego właśnie zapalenia płuc, dzięki czemu ocalał życie. Wszyscy, którzy zgłosili się jako chorzy, zostali na oczach współwięźniów zastrzeleni.

Po zwolnieniu z więzienia z listopada 1941 r. Jan



Jan Furdzyn w 1939 r.

oblastnych (wojewódzkich), a takim był wówczas Drohobycz. Z ręcznym bagażem, bo tylko taki pozwolono im zabrać, znaleźli się w Stryju. Sytuacja ich była wprost tragiczna. Bez środków do życia, przygarnięci przez życzliwych ludzi mieszkali w pokoju, w którym nieszczęsny sufit i dach pozwalały na obserwacje astronomiczne, ale brak opału i przymrozek w mieszkaniu obserwacje te znacznie utrudniały. Żona moja rozpoczęła naukę w szkole felczerskiej i z otrzymywanego przez nią stypendium cała trójka musiała się utrzymać.

Po zajęciu Małopolski Wschodniej przez Niemców moja przyszła rodzina powróciła do Drohobyczyna i swego rozgrabionego mieszkania. Żona moja, wychowana po polsku, całe życie była gorącą patriotką polską, czemu dała dowód wstępując do Armii Krajowej.



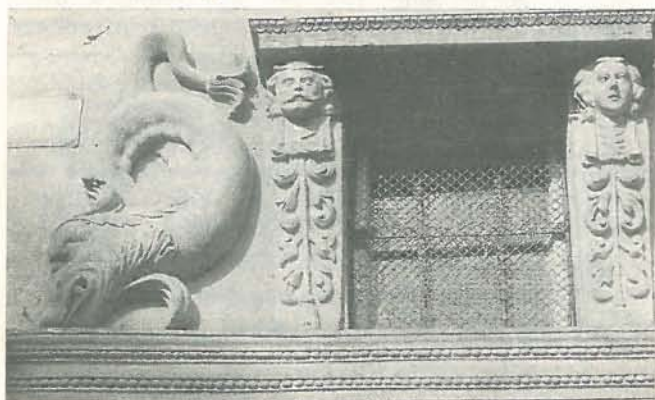
Po powrocie do domu w 1942 r. z więzienia w Woroneżu

Furdzyn rozpoczął pieszą wędrówkę z Woroneża do domu, do którego doszedł pod koniec stycznia 1942 r. Na załączonym zdjęciu nie sposób w brodatym obdartusie ubranym w przepasany sznurem kozuch i walonki rozpoznać zażywnego eleganckiego pana z przedwojennego zdjęcia.

Krótko po aresztowaniu teścia cała jego rodzina: żona, córka Maria, moja późniejsza żona, i jej mały wówczas syn, zostali wysiedleni z Drohobyczyna, gdyż uznani za wrogów ludu, z odpowiednią adnotacją w paszporcie (dowodzie osobistym), mieli zakaz przebywania w miastach

Teść mój z sowieckich więzień wyniósł gruźlicę, na którą zmarł w czerwcu 1948 roku. Jest pochowany na cmentarzu centralnym w Gdańsku-Wrzeszczu.

Ten krótki fragment dziejów mojej rodziny doskonale ilustruje przenikanie się na Kresach Wschodnich różnych narodowości, obyczajów i kultur. Wykazuje absurdalność i bezsens wszystkich nacjonalistycznych szowinizmów pogłębiających przepaść między spokrewnionymi narodami. Trzeba mieć nadzieję, że ustąpią w przyszłości miejsca wzajemnej tolerancji i zrozumieniu, a kiedyś, daj Boże, przyjaźni.



Sprostowania

W numerze 4—5 „Semper Fidelis” na s. 49 błędnie zostało podane nazwisko przewodniczącej koła Sambor przy krakowskim Oddziale TML. Jest Wacław Korzyn, powinno być Wacława Korzyn. Redakcja przeprasza panią przewodniczącą i Czytelników.



Na zdjęciu prezentujemy siatkarzy „Sokoła II”, Mistrzów Polski w sezonie 1938/39. Znamy nazwiska dwóch zawodników: drugi od lewej Zięba, drugi od prawej Dorek. Czytelników prosimy o pomoc w określeniu nazwisk pozostałych osób.

Z życia oddziałów i klubów TML

W Warszawie i Lwowie Sezon jesienno-zimowy

Sezon jesienno-zimowy był w tym roku dla Stołecznego Oddziału TML wyjątkowo gorący, wypełniony wszelkiego rodzaju krzątaniną i aktywnością wynikającymi po części z przyspieszonego rytmu życia politycznego kraju, a po części z coraz szerszych i coraz bardziej obiecujących kontaktów ze Lwowem i w ogóle z Polsnią dawnych kresów wschodnich.

Relację zaczniemy tym razem od polityki, choć nie ona jest główną domeną naszej działalności. Niemniej jednak nastąpiło wydarzenie interesujące. Z inicjatywy działaczy naszego Oddziału TML powstała w Warszawie organizacja o nazwie Federacja Organizacji Kresowych. Jest ona obecnie w trakcie formowania się, sądowej rejestracji i wypracowywania programu swojej działalności. Przewodniczącym komitetu organizacyjnego Federacji jest członek zarządu naszego Oddziału p. Stanisław Mitraszewski.

Do tematu federacji jeszcze wrócimy przy okazji; tu jedynie krótka informacja. Federacja ma być platformą spotkań wszystkich organizacji skupiających środowiska byłych kresowiaków. Chodzi nam o stworzenie lobby kresowego domagającego się od władz państwowych, ażeby w swoich programach politycznych i gospodarczych w odpowiedni sposób uwzględniali problemy ziem, które umownie już dzisiaj określamy nazwą byłych kresów wschodnich, w szczególności zaś, ażeby pamiętały o konieczności otaczania godziwą opieką i pomocą miliony Polaków nadal na tych ziemiach mieszkających.

Federacja musi pomyśleć o tym, ażeby w składzie przyszłego parlamentu RP znalazła się odpowiednia reprezentacja ludzi kresowego pochodzenia.

Kontakty ze Lwowem

Po długich staraniach prowadzonych przez Polaków zamieszkających we Lwowie miejscowe władze wydały zgodę na wydawanie w tym mieście polskiej gazety. Otrzymała ona nazwę „Gazeta Lwowska” i zacznie się ukazywać zapewne w I kwartale 1991 r. Oddział Stołeczny TML przejął opiekę nad całym przedsięwzięciem uruchamiania, a następnie wydawania gazety. Za sumę ponad 40 mln złotych zakupiliśmy dla redakcji we Lwowie komputerowy skład drukarski, maszyny do pisania, sprzęt video. Przy udziale wydziału dziennikarskiego UW organizujemy kurs dla przyszłych pracowników gazety, której redaktorem naczelnym zostanie (o ile nam wiadomo) pani Bożena Rafalska, obecny pracownik „Kuriera Wileńskiego”.

Po raz trzeci z kolei dnia 11 listopada zorganizowaliśmy wspólnie z „Energopolem” uroczysty koncert, który tym razem odbył się w Teatrze Wielkim. Wystąpił zespół „Granica”. Przed koncertem w Katedrze odprawiono z okazji święta nabożeństwo. Kazanie wygłosił kapelan Oddziału Stołecznego TML ks. J. Popławski.

Trwają prowadzone przy naszym udziale prace na cmentarzu Orląt. Bezpośrednim wykonawcą jest oczywiście „Energopol” — firma ogromnie zasłużona dla spraw lwowskich. Wyremontowano dalsze 4 kwatery oraz kaplicę. Należy dodać, że Ministerstwo Budownictwa w Warszawie zaakceptowało nowe warunki działania „Energopola”.

Nadal zbieramy na fundusz odnowy cmentarza. Na fundusz ten 100 mln zł wpłacił jeszcze przed zakończeniem kadencji prezydenckiej generał Wojciech Jaruzelski oraz 100 mln zł wpłaciło MON. Serdecznie dziękujemy.

Opiekujemy się Szkołą nr 10 (niegdyś Gimnazjum Marii Magdaleny). Udało się nam wysłać do Lwowa meble szkolne i sprzęt elektroniczny.

Czasami w swojej działalności wykraczamy poza granice Lwowa. Na przykład udało się nam załatwić zakup organów elektronowych dla XV-wiecznego kościoła w Drohobyczu.

W Warszawie

Warszawska Szkoła nr 328 otrzymała w listopadzie nazwę Orląt Lwowskich. Ze Lwowa na uroczystości nadania tej nazwy przybyła delegacja dzieci polskich, które przekazały swoim warszawskim kolegom urnę z ziemią zebraną na cmentarzu Orląt.

Z Londynu przybył uczestnik obrony Lwowa, 90-letni dr E. Niedźwirski, osobisty lekarz generała Andersa, oraz wdowa po generale Abrahamie, który był dowódcą jednego z odcinków obrony Lwowa (na Górze Stracenia) i w dniu 22 IX 1918 r. zawiesił polską flagę na ratuszu lwowskim.

Zorganizowaliśmy akcję przedsięwziętych paczek dla rodzin polskich we Lwowie. Paczki odstawione zostały z Warszawy do Lwowa transportem 10 pułku samochodowego, która to jednostka otrzymuje nazwę Dzieci Lwowskich. Paczki żywnościowe i odzieżowe przygotowało wielu mieszkańców Warszawy oraz szereg instytucji. We Lwowie rozdziałem zajmie się komitet parafialny przy Katedrze Lwowskiej oraz Towarzystwo Przyjaciół Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej.

Sygnalizujemy ukazanie się dalszych pozycji „Biblioteczki lwowskiej”. Wydana została książka naszego prezesa Jurka Janickiego pt. *Nie ma jak Lwów* oraz znany wszystkim lwowiakom zbiór wierszy Hemara Chlib likowski. Życzymy dobrej lektury.

Wiemy, że będziemy spóźnieni, ale trudno w dwumiesięczniku o ogromną aktualność. Jednak spóźnieni czy nie, wszystkim lwowiakom spoza Warszawy i spoza Polski składamy serdeczne życzenia na cały rok 1991.

Stanisław Głabiński

Aktualny adres Oddziału TML w Kaliszu: ul. Legionów 46. Prezesem jest p. Bolesław Józuk.

Oddział TML w Brzegu mieści się przy ul. Jabłkowej 3.

Nowa siedziba Oddziału TML w Zielonej Górze mieści się przy ul. Lisowskiego 1.

Klub Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Lwowskiej w Bolesławcu

Klub został założony 7 V 1989 r. Pod swój gościnny dach przyjął nas ks. prałat Władysław Rączka, dziekan i proboszcz parafii Wniebowzięcia NMP w Bolesławcu. Grupa inicjatywna składała się z 8 osób. Obecnie Klub liczy 70 członków, byłych mieszkańców ziemi lwowskiej, stanisławowskiej, tarnopolskiej i wołyńskiej.

Po półtorarocznej działalności Klub jest współużytkownikiem lokalu po byłym Komitecie Osiedlowym. Mimo trudnych warunków lokalowych i finansowych Klub nasz działa prężnie.

Zorganizowaliśmy dwie pielgrzymki. Pierwszą w ubiegłym roku na odpust Wniebowzięcia NMP do Rudek i Lwowa, drugą zaś w roku bieżącym na ponowny pochówek Aleksandra Fredry do Rudek, a także do Lwowa, Sambora, Drohobycza i Kamionki Strumiłowej. Obie doszły do skutku dzięki ks. Stanisławowi Dragule, proboszczowi z Niwnika k/Oławy. Zawieźliśmy dary do kościołów w Rudkach, Drohobyczu, Kamionce Strumiłowej oraz katedry we Lwowie. Były to: ornaty (jeden jako osobiste votum uczestniczki pielgrzymki), flakony z ceramiką bolesławieckiej, świece ołtarzowe, oraz milion złotych na organy do kościoła w Drohobyczu. Wieźliśmy także 4 kartony polskich książek oraz paki używanej odzieży pochodzącej z darów zachodnich, które ks. dziekan W. Rączka przekazał do naszej dyspozycji. Zostawiliśmy je w Rudkach oraz Kamionce Strumiłowej. Mamy jeszcze do przekazania 520 tys. zł na sprzęt nagłaśniający do Kamionki Strumiłowej.

W kwietniu 1990 r. przeprowadziliśmy akcję zbiórki polskich książek dla nowo organizowanej Izby Pamięci Aleksandra Fredry w Beńkowej Wiszni oraz dla polskich kościołów. Około 800 książek przekazaliśmy redaktor Lenie Kaletowej.

W maju 1990 r. ufundowaliśmy w kościele Wniebowzięcia NMP w Bolesławcu tablicę upamiętniającą bohaterską śmierć Orląt Lwowskich. Projekty wykonała młodzież z Liceum Ogólnokształcącego w Bolesławcu pod nadzorem pani prof. Jolanty Czarneckiej. Propozycji było kilkanaście, a wybrany został projekt ucznia Mariusza Zatylnego z kl. III d. Model tablicy wykonał artystyk Jerzy Stępka, a odlew w brązie odlewnia w Baworowie k/Leśnej, której kierownictwo podeszło do sprawy z istic „lwowskim sercem”. Materiał zebraliśmy jako złom metali szlachetnych. Pod tablicą znajduje się skrytka, w której umieszczona została ziemia z cmentarza Orląt przywieziona z pierwszej pielgrzymki. Poświęcenia dokonał ks. biskup Adam Dyczkowski. Uroczystość uświetniła liczna grupa harcerzy bolesławieckich ze sztandarami oraz grupa weteranów Armii Krajowej z opaskami. Uroczystość zaszczycił również swoją obecnością ks. Stanisław Draguła. Z Zarządu Głównego TML mimo zaproszenia nikt nie przyjechał. Były deklamacje, a także specjalne wykonanie pieśni *Śliczna gwiazdo miasta Lwowa*.



18 XI 1990 r. w rocznicę Obrony Lwowa zorganizowaliśmy uroczystość kościelną za lwowskie Orlęta oraz wszystkich poległych i pomordowanych w obronie polskich ziem wschodnich. W Mszy Św. brali udział harcerze oraz weterani AK. Okolicznościową homilię wygłosił ks. dziekan W. Rączka. Przy tej okazji zorganizowaliśmy przed kościołem zbiórkę pieniężną na odbudowę cmentarza Orląt Lwowskich. Zebrano 1 017 000 zł, 14 rubli i 1,20 dolara.

To główne nasze działania. O drobnych, takich jak opłatek z tradycyjną kutią, nie będę pisać.

Założycielka i przewodnicząca Klubu Towarzystwa w Bolesławcu

Stanisława Balawender z Rudek

Klub Sąddecki TML

W dniu 26 XI br. przedstawiciele Zarządów Klubów TML w Krynicy i Nowym Sączu, po uzyskaniu zgody od władz komunalnych miasta Krynicy i przy pomocy pracowników komunalnych tegoż miasta, zorganizowali ekshumację zwłok Henryka Zbierzchowskiego — zasłużonego dla Lwowa poety i pisarza, który zmarł w Krynicy w 1942 r. i tam na starym cmentarzu został pochowany.

Esej o Henryku Zbierzchowskim autorstwa B. Opałka ukazał się w nr 3 „Semper Fidelis”, nie ma więc potrzeby bardziej szczegółowego przedstawiania postaci i dorobku literackiego poety i jego roli w życiu literackim Lwowa w okresie II Rzeczypospolitej.

Bulwersujący dla środowiska lwowskiego Nowego Sącza i Krynicy był sposób pochowania poety: zwłoki zostały zamurowane w czasie wojennym w ścianie piwnicy pod kaplicą pogrzebową na starym cmentarzu krynickim.

Sprawie tej nadał rozgłos przed dwoma laty prezes Sąddeckiego Klubu TML dr Jerzy Masior. Przy współudziale Zarządu Klubu TML w Krynicy, a w szczególności prezesa Ryszarda Janowicza, udało się przeprowadzić w dniu 26 XI ekshumację zwłok, przełożenie ich do nowej trumny oraz dokonanie pochówku na cmentarzu otaczającym kaplicę. Na miejscu obecnego spoczynku poety umieszczona będzie granitowa płyta z jego popiersiem oraz stosowny napis.

Ludzie zaangażowani w tę sprawę chcieliby ją zakończyć na wiosnę 1991 r. Na przeszkodzie stoi brak środków. Dotychczasowe działania zostały pokryte z funduszy uzyskanych przez tamtejsze kluby TML. Nie uzyskano wsparcia finansowego od wnuczki poety przebywającej stale w Anglii. Dr Jerzy Masior wystąpił z prośbą o taką pomoc do najbliższej poecie żyjącej osoby.

Na apel Zarządu Klubu TML w Nowym Sączu nie odpowiedział Zarząd Główny TML, co wydaje się szczególnie dziwne wobec znaczenia Henryka Zbierzchowskiego dla kultury Lwowa. Jest przyobiecana pomoc finansowa przez prezesa Stołecznego Oddziału TML Jerzego Janickiego.

W tej sytuacji środowisko Lwówian Sąddecko-Krynickich, które jest nieliczne, apeluje do wszystkich Kolegów, do Oddziałów, Kół i Klubów z prośbą o wsparcie finansowe naszego przedsięwzięcia. Zadeklarowane kwoty prosimy wpłacać na konto Klubu TML w Nowym Sączu — PKO N. Sącz nr rachunku bieżącego 6389 z dopiskiem „na grobowiec Henryka Zbierzchowskiego”.

Prezes Klubu Sąddeckiego TML dr med. Jerzy Masior

Nadanie imienia Orłąt Lwowskich szkole w Wołowie

29 listopada 1990 r., Szkole Podstawowej nr 2 przy ul. Chopina 10 w Wołowie, woj. wrocławskie, nadane zostało imię Orłąt Lwowskich.

Inicjatorem tej wspaniałej idei był Komitet Rodzicielski, grono pedagogiczne oraz samorząd uczniowski.

Uroczyste odsłonięcie tablicy nastąpiło w obecności wicekuratora Wydziału Oświaty i Wychowania Urzędu Wojewódzkiego we Wrocławiu mgra Stanisława Wilkosa, który odczytał oficjalny akt nadania imienia.

Tablica pamiątkowa została odsłonięta przez przewodniczącą samorządu uczniowskiego; prezesa Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa oraz przedstawiciela Komitetu Rodzicielskiego, a poświęcona przez katechetę szkoły księdza Tadeusza Piłę.

Wiceprezes ZG TML Danuta Nespiak przedstawiła bohaterską walkę dzieci lwowskich w listopadzie 1918 r. w obronie miasta.

Chór szkolny z przejęciem i zaangażowaniem wykonał wianek pieśni patriotycznych i lwowskich.

Po oficjalnej uroczystości zaproszeni goście zwiedzili wystawę rysunków dzieci, poświęconą tematyce lwowskiej i kresowej. Najbardziej podobał się rysunek Ani Gołąb z klasy V A, przedstawiający fragment panoramy Lwowa.

Redakcja „Semper Fidelis” ufundowała dzieciom tej szkoły upominki mikołajowe.

Sztandar szkoły wykonany będzie przez specjalistyczną pracownię wg projektu Mieczysława Ryszarda Filipczaka z Sopotu. Ze względu na duże koszty przedsięwzięcia bardzo prosimy Szanownych Czytelników o datki na ten cel. Wpłaty można dokonywać na konto: Komitet Rodzicielski przy Szkole Podstawowej nr 2 w Wołowie, ul. Chopina 10, Bank Spółdzielczy Wołów 114-132-5.

Agencja PRESSTRUST na wniosek redakcji „Semper Fidelis” ufundowała kilka paczek ze słodyczami i żywnością dla dzieci z terenu byłych ziem kresowych II Rzeczypospolitej. Dostarczeniem ich na miejsce zajął się Zarząd Główny TML.

Dochodzą wieści o lwowiakach w Białymstoku. Już się znaleźli, już się zbierają i planują zorganizowanie Koła Towarzystwa Miłośników Lwowa. Motorem jest p. Zygmunt Roskosz. Spotkania, wspomnienia, wymiana wydawnictw, kontakty z ZG TML i redakcją „Semper Fidelis” roją dobre perspektywy.

Zyczymy powodzenia!

Klub TML w Oleśnicy mieści się w nowej siedzibie: Oleśnicki Ośrodek Kultury, ul. Rewolucji Październikowej 10. Prezesem Oddziału jest p. Leszek Mulka.

Zjazd lwowiaków w Częstochowie

Wśród wielu przedsięwzięć i zamierzeń, jakie planował zrealizować w 1990 roku Częstochowski Oddział TML, niewątpliwie jednym z najważniejszych wydarzeń mógł stać się zjazd na Jasnej Górze w dniach 10–11 listopada wszystkich lwowiaków żyjących obecnie w kraju, jak też poza jego granicami. Zjazd, czy też raczej spotkanie takie rzeczywiście odbyło się w Częstochowie 11 listopada 1990 r. Fakt, że wydarzenie to przeszło bez większego rozgłosu i prawie nie zostało zauważone przez liczne grupy lwowiaków rozsianych po całej Polsce, zapewne jest wynikiem wielu przyczyn.

Do ostatniej chwili czyniliśmy usilne starania i zabiegi, ażeby zamierzone przedsięwzięcie wypadło przynajmniej na takim poziomie, jak spotkania wielu innych grup, organizacji i stowarzyszeń, odbywanych cyklicznie na Jasnej Górze.

Kiedy stało się oczywiste, że możemy liczyć, poza naszymi członkami, jedynie na przybycie zorganizowanej grupy tylko z Gorzowa oraz kilkusobowych delegacji z Gdańska i Szczecina, zmuszeni byliśmy ograniczyć przebieg uroczystości wyłącznie do jednego dnia, tj. niedzieli 11 listopada.

Po krótkiej prezentacji dotychczasowej działalności i dokonach Oddziałów biorących udział w spotkaniu, a także bardzo cennej przy tego typu okazjach wymianie doświadczeń — w części drugiej wygłoszona została prelekcja przygotowana przez prof. Sławomira Wilka (TML Częstochowa). Wspaniale zaprezentowana, z ogromnym zapałem i erudycją, prelekcja na temat życia naukowego i kulturalnego Lwowa oraz jego wpływu i oddziaływania na wszystkie dziedziny Rzeczypospolitej wzbudziła ogromne zainteresowanie zebranych.

O godzinie 11 w Kaplicy M.B. Częstochowskiej na Jasnej Górze odprawiona została Msza Święta w intencji wszystkich byłych mieszkańców Lwowa i Kresów Wschodnich żyjących zarówno w kraju, jak też na obczyźnie. Celebrował ją oraz okolicznościową homilię wygłosił lwowianin ojciec Wojciech z zakonu Paulinów na Jasnej Górze. Po mszy w obszernej Kaplicy M.B. Różańcowej odbyła się druga część spotkania uczestników Zjazdu. Zebrani z wielkim zainteresowaniem i wzruszeniem wysłuchali dalszego ciągu wspomnień ojca Wojciecha z pracy duszpasterskiej w kościele Świętego Antoniego we Lwowie w miesiącach letnich 1990 r., a także refleksji na temat życia religijnego na Ukrainie.

Na zakończenie zebrani jednomyślnie wyrazili pogląd o konieczności kontynuowania w przyszłości tego typu spotkań, oczywiście w znacznie szerszym gronie członków. Wyrażono również żal, że Zarząd Główny nie był reprezentowany choćby przez jednego swojego członka. Istniałaby wówczas szansa dokonania bardziej obiektywnej oceny, możliwości ewentualnej organizacji podobnych zjazdów w przyszłości w Częstochowie.

Spotkanie zakończono wspólnym odśpiewaniem pieśni *Słiczna gwiazdo miasta Lwowa*.

Ryszard Różański

Sekretarz O/TML w Częstochowie

Co słyhać w Przemyślu?

Przemyślowi zazdrości wielu ... Tutaj czuć oddech Lwowa. „Lwowska” architektura i lwowski akcent na ulicy. Stąd za mniej więcej dwie godziny można się znaleźć na lwowskim rynku. Nie sposób ominąć Przemyśla w drodze do Lwiewo Grodu ...

Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa, założony 4 marca 1989 r. z inicjatywy p.p. Stanisława Żółkiewicza, Mieczysława Kassana i Zbigniewa Kuchcińskiego, dobrze zapisał się w pamięci w prawie dwuletnim okresie swojej działalności. Działacze Towarzystwa brali czynny udział w życiu Przemyśla, przypominając o swoich korzeniach i bliskości Lwowa, miasta, które niegdyś było dla Przemyśla większym i bardzo kochanym bratem. Spotkania, wystawy, obchody rocznic, udział w życiu politycznym, kontakty z Polakami po drugiej stronie granicy.

Większy rozgłos wyśpiewuje i wygrywa oddziałowi TML Lwowska Kapela Podwórkowa pod kierownictwem p. Jana Nowakowskiego.

Działacze niezbyt wielkiego oddziału (nieco ponad 200 osób) zdają sobie sprawę ze swego szczególnego położenia i znaczenia, zwłaszcza w kontaktach z Polakami za bliską granicą. Za tę świadomość i związane z nią działania cała społeczność kresowa w kraju jest Przemysłowi ogromnie wdzięczna.

Co warto szczególnie odnotować w działaniach przemyskich kresowian w roku 1990? W I kwartale przemysłanie mieli okazję oglądać wystawę plastyczną pt. „Kresy — refleksje”, zorganizowaną przez Oddział TML we współpracy z Klubem Międzynarodowej Prasy i Książki.

W kwietniu działacze Oddziału, przy współudziale „Solidarności”, Klubu Inteligencji Katolickiej, Stowarzyszenia Pamięci Orłąt Przemyskich Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej Polskiej oraz Środowiska Kultury Niezależnej utworzyli Przemyski Komitet Obywatelski. Działalność Komitetu wsparta została finansowo kwotą 338 tys. zł, pochodzącą ze zbiorów. Członkowie TML uczestniczyli w przygotowaniu i przeprowadzeniu wyborów do samorządu terytorialnego, pracowali w sztabie wyborczym Lecha Wałęsy oraz w okręgach wyborczych. Członek TML p. Stanisław Lepsi został radnym miasta Przemyśla. Oddział brał udział w uroczystościach rocznicowych w miejscu upamiętnienia ofiar terroru stalinowskiego. Wspomaga pracami i finansowo budowę pomnika im poświęconego, a także angażuje się w dzieło rekonstrukcji pomnika Orłąt Przemyskich.

Działający przy Oddziale Zespół Kulturalny podjął współpracę z Miejskim Domem Kultury „Niedźwiadek”. Lwowska Kapela Podwórkowa dała szereg występów w kwietniu, maju i sierpniu w Przemyśle, a w lipcu, w ramach wycieczki do Panoramy Racławickiej — we Wrocławiu i w Krakowie. W sierpniu i wrześniu Kapela koncertowała dla Polaków w Mościskach, we Lwowie, w Pnikucie i w Strzelczyskach. Z rewizytą gościł w Przemyśle zespół artystyczny „Lwowska fala” ze Lwowa.

Ważnym etapem działalności Oddziału jest nawiązanie bliskich kontaktów z Oddziałem Towarzystwa Kultury Polskiej w Mościskach. Zawarto porozumienie o współpracy we wszystkich możliwych działaniach. Przekazano do Mościsk maszynę do pisania z polskimi czcionkami, prasę polską i dużo książek. Zapoczątkowaną współpracę kontynuuje powstały w międzyczasie w Przemyśle Klub TML „Mościska” pod przewodnictwem p. Krzysztofa Nowakowskiego.

W lipcu Zarząd Oddziału opublikował głośny list do Polaków i Ukraińców po obu stronach granicy w sprawie wzajemnych stosunków. W efekcie w październiku przybyła do Przemyśla delegacja Rady Miejskiej Lwowa z Wasylem Szpicerem na czele oraz delegacja Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej z prezesem Leszkiem Mazepą. Rozmowy dotyczyły wielu spornych i nie rozwiązanych zagadnień dotyczących życia i działalności mniejszości narodowych, w szczególności Polaków i Ukraińców. Obie strony złożyły obietnice stworzenia znacznie lepszych warunków działania, zwłaszcza w dziedzinie kultury. Podłożono też podwaliny pod szeroką współpracę kulturalną Lwowa i Przemyśla. 15 października Przemyśl gościł lwowski zespół „Wesoły Lwów”, wspierając go rzeczowo i finansowo.

Na sygnały o tragicznej sytuacji zaopatrzeniowej na Ukrainie Oddział włączył się czynnie w akcję pomocy Polakom. Zbiórki pieniędzy dały kwotę ponad 9 milionów złotych. Została zakupiona żywność oraz zorganizowany transport do Lwowa. Rozdziałem darów we Lwowie zajęła się katedra, poza Lwowem — polskie kościo-

ły, z którymi kontakty nawiązano wcześniej. Taka akcja będzie kontynuowana w przyszłości. Należą się za nią Oddziałowi szczególne wyrazy uznania.

Wśród rzeszy działaczy Oddziału wymienić trzeba koniecznie najbardziej aktywnych p.p.: Zbigniewa Kuchcińskiego, Mieczysława Kassana, Lesława i Urszulę Gruszkiewiczów, Genowefę Sawicz, Adama Klimczaka, Krzysztofa Litwinnika, Józefa Tympalskiego, rodzinę p.p. Juriewiczów, p. Krystynę Brodkę, p. Stanisława Lepszego z małżonką.

Za aktywną postawę i współpracę z Oddziałem TML wymienić też trzeba harcerzy ze Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej Polskiej.

Serce Lwowa bije w Przemyśle! Daj Boży zdrowi przemyskim Kresowianom!

Lesław Flis

Lwów, 15 XII 1990 r.

Kochani Rodacy,

We Lwowie na cmentarzu Janowskim pogrzebani są polscy żołnierze. Przy Towarzystwie Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej powstało dobrowolne towarzystwo opieki nad grobami bohaterów, które zajmuje się porządkowaniem tej bardzo zdewastowanej części nekropolii.

Pragniemy dzięki składkom społecznym odbudować pomnik, jednak nie mamy odpowiedniej dokumentacji. Nie wiemy, jak wyglądał, nie mamy spisu poległych bohaterów.

Bardzo prosimy o wydrukowanie tych zdjęć — może ktoś pamięta lub ma zdjęcia pomnika z dawnych czasów.

Prosimy o kontakt pod adresem:

290000 Львов - центр
ул. Ю. Словацкого 6, кв. 6
Поплавский Владимир



Uroczysty opłatek, na który została zaproszona nasza redakcja, odbył się w Filharmonii Opolskiej im. Józefa Elsnera. To podniosłe spotkanie, zorganizowane przez Oddział TML w Opolu oraz Agencję Turystyczno-Ustugową „Timing”, zaszczycił swą obecnością sufragan opolski Jego Eminencja ksiądz biskup Antoni Adamiuk.

W słowach kierowanych przez Eminencję do licznie zebranych kresowiaków znalazły się m.in. życzenia długiej pamięci o ziemi rodzinnej i jej tradycjach, przekazywania wspomnień o tamtych stronach, o niepowtarzalnych przeżyciach dzieciom i wnukom.

Na zakończenie odbyła się aukcja obrazów współczesnych lwowskich artystów. Całkowity dochód przeznaczony będzie na pomoc (m.in. zakup podręczników) dla polskiej szkoły nr 12 we Lwowie.

W.J.-H.

Dzieci z ZSRR na Sąddeckiźnie

Z inicjatywy ks. dr. Ostacha, prezesa Polskiego Związku Pszczelarskiego, w Kamiannej i okolicy przebywało na wakacjach 800 dzieci polskich z ZSRR.

Oddział Sąddecki TML przyjął 3 grupy dzieci, urządzając im wycieczki pod żaglami po Jeziorze Rożnowskim. Służba zdrowia przeprowadziła kompleksowe badania. Dzieciom tak się podobało nad jeziorem, że wystąpiły z propozycją ponownego przyjazdu w 1991 r.

Klub Sąddecki planuje zorganizowanie kursu żeglarskiego dla dzieci polskich z Kresów.

W maju 1990 r. przy TML w Warszawie powołane zostało Koło Kresowe skupiające byłych mieszkańców i miłośników Stryja, Stanisławowa, Kołomyi, Borysławia, Tarnopola i innych miast kresowych. Koło, liczące obecnie ok. 400 członków, stawia sobie za cel utrzymywanie więzi z Polakami mieszkającymi na Ukrainie, organizowanie im pomocy (np. zaproszenia, paczki żywnościowe), nawiązywanie kontaktów z rodakami rozsiadymi w świecie.

Koło co miesiąc organizuje odczyty popularyzujące wiedzę o miastach kresowych (wygłoszone już zostały odczyty o Drohobyczu, Borysławiu, Stryju i Stanisławowie), organizuje opiekę nad kresowiakami w podeszłym wieku, czyni starania o umieszczenie tablic upamiętniających rodaków poległych i pomordowanych w II wojnie światowej.

Uprzejmie wyjaśniamy, że słowa piosenki, która była zamieszczona w nrze 4—5/90. SF napisał Aleksander Alan, opracował muzycznie Jerzy Harald na podstawie melodii *Songe d'automne* Archibalda Joyce'a. Brzeski klub TML oraz redakcja składają podziękowania p. Almie Heczko-wej z Bytomia za „odkrycie na nowo” autorów. Redakcja dziękuje p. Cezaremu Chimiakowi za opracowanie zapisu nutowego.

POLSKIE STOWARZYSZENIE KULTURALNO-OŚWIATOWE „OGNIWO”

Szanowni Państwo,

Pragniemy uprzejmie powiadomić Państwa, że w Irkucku od maja br. działa Polskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe „Ogniwo”.

Główne cele naszej działalności są bliskie celom podobnych organizacji Polaków w Związku Radzieckim. Pragniemy wyrażać interesy osób polskiego pochodzenia, odrodzić kulturę, język, tradycje narodowe i religijne, dążymy do podniesienia tożsamości narodowej Polaków na Syberii.

Stowarzyszenie pragnie nawiązać bliskie kontakty z Polską oraz z podobnymi stowarzyszeniami w naszym kraju. Dla urzeczywistnienia naszych planów potrzebujemy podstawowych, ale tak niezbędnych, jak na nasze skromne możliwości środków, szczególnie w sprawach nauczania języka ojczystego, oświaty i informacji. Potrzebne nam są podręczniki, książki dla dzieci, młodzieży i dorosłych, literatura religijna, kasety i płyty z polską muzyką poważną i młodzieżową.

Oczekujemy, aby artyści i muzycy polscy zwrócili uwagę na Polaków w Irkucku; chcielibyśmy gościć u siebie polskie teatry, wystawy, filmy i koncerty.

Zamierzamy założyć w Irkucku parafię katolicką i zaprosić na stałe księdza do naszego kościoła, w którym mieści się obecnie hala organowa.

W celu upamiętnienia polskich powstańców, zesłanych na Sybir, zamierzamy zbudować kompleksy memorialne na b. cmentarzu Jerozolimskim w Irkucku (gdzie zniszczono groby polskie) oraz w miejscach cierpień i masywnego zagłady Polaków. Potrzebujemy pomocy w projektowaniu i budowie takich obiektów.

Planujemy także wspólną działalność gospodarczą, zachęcamy zainteresowanych do współpracy ekonomicznej.

Oczekujemy na większe zainteresowanie polskich firm turystycznych historią Polaków nad Bajkałem. Nasze stowarzyszenie potrafi uatrakcyjnić pobyt turystów polskich w Irkucku.

PSKO „Ogniwo” dąży do tego, aby Irkuck z ciekawostki historyczno-turystycznej przekształcił się w prawdziwe centrum kulturalne i gospodarcze Polaków na Syberii.

Zainteresowanych zapraszamy do nawiązania kontaktów z naszym stowarzyszeniem. Proponujemy uzgodnienie form i warunków ewentualnej współpracy.

Prosimy kierować informacje pod adresem:

664003 Иркутск СССР
ул. Красноармейская 9, кв. 10
Новоселовой Изольде Едуардовне

Prezesowie:

Izolda Nowosiolowa

Grzegorz Dalkiewicz

Sekretarz odpowiedzialny: Helena Szackich

Ktokolwiek wie o losie Józefa Wróblewskiego, syna Ludwika, urodzonego w Kołomyi 16 IV 1894 r., w chwili aresztowania i wywiezienia posterunkowego Policji Państwowej w Śniatynie, proszony jest o wiadomość pod adresem: Józef TOMSIA, 71-140 Szczecin, ul. Mickiewicza 122/2.

W marcu 1944 r. banderowcy zamordowali około 35 mężczyzn, mieszkańców osiedla Huta położonego pomiędzy Rohaczynem-Miastem a Narajewem, powiat Brzeżański, województwo Tarnopol.

Czytelnicy, którzy znają bliższe okoliczności tej zbrodni, proszeni są o posłanie informacji pod adresem: Władysław Żołnowski, ul. Dambonia 65, m 8, Opole.

Polskie Towarzystwo Ludoznawcze oraz Wrocławska Drukarnia Naukowa zapowiadają ukazywanie się nowej serii wydawniczej „Biblioteka Zesłańca”, obejmującej szeroki zakres tzw. polskiej literatury łagrowej — książki wspomnieniowe i zbiory antologiczne dotyczące pobytu Polaków na Syberii, Dalekim Wschodzie, w Kazachstanie i innych terenach Związku Radzieckiego w latach 1939—1956. Ukazą się w niej także reprintowe wydania pamiętników syberyjskich z XIX w. oraz monografie problemowe, m.in. monumentalne dzieło Michała Janika, *Dzieje Polaków na Syberii*, opublikowane po raz pierwszy w 1924 r.

Zamówienia indywidualne i zbiorowe należy kierować pod adresem: Polskie Towarzystwo Ludoznawcze — Wydawnictwo, 50-139 Wrocław, ul. Szewska 36.

A oto „najdalej na Zachód wysunięci” lwowiaci: panowie Jerzy Lerski — Emisariusz Jur (z lornetką) oraz Roman Makarewicz — podczas podziwiania krajobrazu hawajskiej wyspy Kauai.



Jadwiga Diug
Wrocław, ul. Mielecka 30/6

Wrocław 15 X 1990 r.

Jestem rodowitą lwowianką, urodziłam się we Lwowie 10 XII 1921 r., mieszkam przy ul. Św. Wojciecha 14 w bardzo ładnej zadbanej kamienicy, własność p. Olszewskich. Chodziłam do szkoły im. St. Staszica. Wybrałam zawód pielęgniarki (fot. z 1973 r.) wskutek czego w 1944 r. zmobilizowana zostałam do Ludowego Wojska Polskiego, gdzie byłam do 30 V 1947 r.



Cieszę się ogromnie, że wychodzi miesięcznik „Semper Fidelis”. Chcę dołączyć się, by ocalić od zapomnienia nasz Drogę Lwów. Mam bogate wspomnienia dotyczące cmentarza Orląt i cmentarza Łyczakowskiego. Wspaniały to był cmentarz — dzieło mego sąsiada Rudolfa Indrucha. Opiekowałam się jego matką staruszką. Była to wspaniała matka, serce mi zabiło, gdy zobaczyłam w „Semper Fidelis” ten sam portret jej syna, który wisiał w jej pokoju spowity kirem ze świecącą się stale lampką oliwną i świeżymi kwiatami. Stale płakała po nim, pokazywała mi piękny album jego prac, chodziła ciągle w czerni, poświęciła się trosce o wystrój kościoła Św. Wojciecha, który stoi na wzgórzu z widokiem na Łysą Górę, Zniesienie i Kaizerwald. Byłam towarzyszką jej życia jako bardzo młoda dziewczyna, przeżywałam jej ból po synu. Matka R. Indrucha zmarła, gdy mnie nie było już we Lwowie, dobrzy ludzie uratowali jej pamiętki po synu.

Mam bardzo wielki żal do Rządu Polskiego, że po II wojnie nie dopilnował, by nasze zabytkowe cmentarze otaczać opieką za granicą. Patrząc w Polsce na zadbane cmentarze radzieckie, mam w sercu wielką bolesną ranę, która chyba się nigdy nie zagoi z powodu dewastacji cmentarza Orląt.

Z ostatniej chwili

Ojciec Święty Jan Paweł II ustanowił arcybiskupem metropolitą lwowskim obrządku łacińskiego ks. biskupa dra Mariana Jaworskiego, dodając Mu dwóch biskupów pomocniczych: ojca Rafała Kiernickiego — proboszcza katedry łacińskiej we Lwowie oraz ks. Marka Trofimienka — proboszcza parafii w Krzemieńcu, woj. tarnopolskie.

Ponadto Ojciec Święty ustanowił biskupem diecezjalnym w Żytomierzu Polaka ks. Jana Purwińskiego oraz biskupem diecezjalnym w Kamieńcu Podolskim ks. Jana Olszańskiego, ur. w Brodach w 1919 r. i wyświęconego na kapłana przez arcybiskupa dra Bolesława Twardowskiego w 1942 r. we Lwowie.

Z. O.



Arcybiskup metropolita lwowski ks. Marian Jaworski

16 X 1990 r.

Redakcja „Semper Fidelis”

Szanowna Redakcjo,

Sądzę, że w Waszym pięknym miesięczniku warto zamieścić informację o raczej niebywale lwowskiej uroczystości, na którą mnie zaproszono jako lwowiaka, wychowanka Politechniki Lwowskiej i jednego chyba z dwóch ostatnich żyjących jeszcze byłych asystentów kolejowych katedr Wydziału Inżynierii tejże Politechniki. Otóż w dniu 12 X 1990 r. odbyła się w Łazach (duży węzeł kolejowy na starej linii Katowice—Częstochowa—Warszawa) uroczystość nadania Zespołowi Szkół Zawodowych PKP imienia prof. Romana Gostkowskiego. Tu należy wyjaśnić, że prof. Gostkowski (1837—1912), inżynier kolejnictwa, był jednym z czterech profesorów kolejnictwa i budowy kolei żelaznych, którzy pracowali na Wydziale Inżynierii w Szkole Politechnicznej — Politechnice Lwowskiej w pięćdziesięciolecie 1889—1939, obok profesorów: Karola Skibińskiego, Karola Wątoraka i Kazimierza Zipsera. Prof. Gostkowski był profesorem kolejnictwa w latach 1890—1908. Był człowiekiem niezwykłym. Nie tylko że wydał pionierskie dwutomowe dzieło pt. *Teoria ruchu kolejowego*, przetłumaczone na trzy obce języki, ale m.in. — jako prezes Towarzystwa Politechnicznego we Lwowie — miał już w 1877 r. pierwszy w Austrii odczyt o telefonach, w 1881 r. zorganizował koncert telefoniczny między Lwowem a Żółkwią, a w 1900 r. opublikował artykuł o projektach podróży kosmicznych.

Uroczystość w Łazach, zorganizowana staraniem dyrektora szkoły, mgra Jana Szczepańskiego, grona nauczycielskiego i uczniów, była wzruszająca; równocześnie uczniowie klas pierwszych składali kolejarskie ślubowanie na sztandar szkoły. Piękne przemówienie wygłosił dyrektor naczelny śląskiej DOKP, dr inż. Zalewski. Szkoła — istniejąca 20 lat — nie miała dotychczas patrona; przedstawiciel władz szkolnych podkreślił wyjątkowo trafny wybór patrona — europejskiej sławy uczonego polskiego, z dziedziny, w której szkoła kształci młodzież.

Z poważaniem

Prof. dr hab. inż. Jerzy Węgiński
ul. Tysiąclecia 41 m. 34, 40-879 Katowice

Uzupełnienie do artykułu Andrzeja Małyszko pt. *Szachy*, zamieszczonego w nrze 6/90 „Semper Fidelis”.

Na s. 32 po słowach „Mat w czterech posunięciach” powinien znajdować się następujący diagram:



Przypominamy również rozwiązanie zadania szachowego:

1. Ha7!
- 1... grozi 2. Hd4+
- 1... K:c4 2. Hd4+Kb3 3. Hb4+Ka2 4. Ha4 Mat
- 1... Wd1 2. Gf7+Ke4 3. H:e3+Kf5 4. H:f3 Mat
- 1... Sc5 2. Hf7+Se6 3. Gd3! Kc5 4. Hf5 Mat

Oświęcim 5 IX 1990 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pomimo że jestem członkiem Towarzystwa Miłośników Lwowa, mam bardzo ograniczone możliwości nabywania miesięcznika „Semper Fidelis”. Obecnie może trochę z opóźnieniem udało mi się przegłądnąć nr 2 i po przeczytaniu artykułu Pana Mieczysława Filipczaka *Odnaki Obrońców Lwowa 1918* nasunęła mi się myśl, czy nie można by zaprojektować i wykonać odnaki Obrońców Lwowa 1939. Przecież czyny walczących w tym okresie też mają swoją historię i wartość. Warto by też wspomnieć na łamach miesięcznika o samych działaniach i walkach w r. 1939.

Druga sprawa, jaką się zainteresowałem, tj. budowa Pomnika Orląt Lwowskich — czy nie można by w projekcie pomnika wkomponować i zaznaczyć moment obrony Lwowa 1939, gdzie również młodzież brawurowo i z poświęceniem walczyła w obronie Swego miasta.

Karol Rawin-Pruszyński

uczestnik w stopniu porucznika w obronie Lwowa w 1939 r. (udało mi się nie dojechać do Katynia)

32-600 Oświęcim ul. Dąbrowskiego 20

Legionowo, 21 sierpnia 1990 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jest trudno, a właściwie wręcz niemożliwe, kupić „Semper Fidelis” w kiosku. Zwykle spotykam się z odpowiedzią: już było albo jeszcze nie ma. Jeżeli komuś uda się kupić, to egzemplarz taki krąży z rąk do rąk, w końcu jest tak zacytany, że robi wrażenie staroci wydawniczej.

Polecam się łaskawej pamięci, z życzeniami samych najlepszych dni

mgr Michał Strutyński

Cibórz, dnia 24.10.90 r.

Droga Redakcjo,

z trudnością udaje mi się czasem zdobyć drogie mi czasopismo [...]. Przy okazji chciałam do wspomnień o dr. Irenie Pelczarskiej dodać kilka słów. W czasie okupacji niemieckiej dr Pelczarska uczyła dziewczęta lwowskie pielęgniarstwa, aby przygotować je do pełnienia roli sanitariuszek w Armii Krajowej. Odbylałam taki kurs, który trwał około roku. Ile grup uczyła, nie wiem, lekcje, których byłam uczestniczką, odbywały się w domu moich rodziców przy ul. 22 Stycznia 7. Wraz ze mną uczyły się Anna Wittlin (córnka kapitana, który zginął przypuszczalnie w Katyniu) oraz Małgorzata Szelińska. Miałymy wówczas po 16—17 lat. Wykłady dr Pelczarskiej były jasne i prowadzone bardzo interesująco, do dziś wiele z nich pamiętam. Prawdopodobnie nauka u dr Pelczarskiej nie była bez wpływu na fakt, że wszystkie trzy ukończyłyśmy później medycynę.

Zofia Bielawska (z domu Turkiewicz)

Sprostowania

Do tekstu M. R. Filipczaka „Odnaki Obrońców Lwowa”, zamieszczonego w nrze 6/90 SF na s. 4 zakradły się błędy w pisowni nazwisk.

Organizatorem i dowódcą lotnictwa lwowskiego był lotnik kpt. Stefan Bastyr, a uczestnikiem pierwszego lotu bojowego samolotu polskiego był prof. dr Stroński.

W apelu Klubu Łyczakowian, wydrukowanym na s. 39, poszukuje się byłych uczniów szkoły im. Zimorowicza.

Na fotografii zamieszczonej na s. 36 obok gen. Władysława Langnera stoi generał Roman Abraham.

W artykule Wiktora Dziulikowskiego o ekslibrisach lwowskich, zamieszczonym w nrze 4—5/90 SF, błędnie podano, iż Tadeusz Myczkowski jest autorem swojego ekslibrisu. Tymczasem twórcą jest Pani Z. Jabłońska-Sokół.

Autor przeprasza artystkę i Czytelników.

GRAFIKA





W NUMERZE:

- Fundacja Kresowa „Semper Fidelis”
- Lwów i Verdun ...
- Lwów na znaczkach pocztowych...
- Przeżyte na Gródku
- Spotkanie po latach